

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośzeniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ:** *Polityka:* Na bezdrożu. — Z Austrii p. S. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Puk, puk! przez E. de Marchi. Przeł. L. B. — *Życie społeczne:* Pod ten sam strychulec p. Zyg. Plet. — Listy wiedeńskie p. Stwosza. — *Badania naukowe:* Neoritteryanizm w Geografii p. W. Nałkowskiego. — Ostatnie postępy antropologii kryminalnej p. K. — *Literatura i sztuka:* Pre-rafaellści p. Leona Winlarskiego. — Teatr p. Cieł. — *Fejleton:* Librium veto p. Pośła Prawdy. — Na widnokręgu p. Z. Atanazego. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

### POLITYKA.

#### NA BEZDROŻU.

##### I.

Po usunięciu z kanclerstwa ks. Bismarka zefiry polityczne rozniosły w pismach łatwowiernych szept, że dla Poznańskiego również zaświta lepsza dola. Widziano nawet i wskazywano promienie tego brzasku, rozpoznawano blaski tej jutrzeńki. Ludzie wszakże rozsądniejsi, pamiętający smutne doświadczenia z lepem pruskim a nado-wszystko patrzący trzeźwo, wysmiali to złudzenie, które też rzeczywiście zaczęło słabnąć i pozornie znikło. Tymczasem ku wielkiemu rozczarowaniu wszystkich „mądrych po szkodzić“ wystąpiło ono z niespodziewaną mocą i właśnie tam, gdzie rozum polityczny powinienby je zetrzeć z umysłów — w Kole polskiem sejmku niemieckiego. Jak wiadomo czytelnikom, rząd związkowy zapotrzebował od parlamentu podwyższenia budżetu wojskowego o 18 milionów marek, a nadto, dzięki nieostrożności ministra wojny, zdradził swe dalsze plany, które wkrótce wymagać będą nierównie większych, bo miliardowych ofiar i całą ludność męską, zdolną do noszenia broni, oderwać od pracy i wtłoczyć w szeregi żołnierskie. Jeżeli obecne (o 18,000 głów) pomnożenie siły zbrojnej Niemiec — jak dowodnie wykazał Richter — nie jest wywołane żadną koniecznością i dlatego napotkało w sejmie na opór stronnictw niezależnych, to owe dalsze plany poprostu przeraziły ogół i jego przedstawicieli, powiększywszy opozycję. Bo stało się jasnem, że — jak mówi przysłowie niemieckie — „kto powiedział A, musi wypowiedzieć B,“ to znaczy: kto zezwoli na 18 milionów marek, musi następnie pozwolić na miliardy. Ponieważ marki nie są manną z nieba spadającą, lecz owocem pracy; ponieważ ludność teraz już dźwiga gniołący ją ciężar podatków a nowe ich brzemie przylatczy ją

zabójczo, więc nawet stronnicy rządu zawahali się w swej zgodzie na postawione im żądania, a niektórzy z nich zwołali nawet swych wyborców dla zasięgnięcia od nich rady. Posłowie polscy nie zwrócili się do swoich mandataryuszów; że zaś są pasierbami i kopciuszkami politycznymi, nieobowiązany do żadnych poświęceń dla ojcymów, więc przypuszczano, iż przyłączą się do opozycji. Zdziwiło to wszystkich, że delegat Koła oświadczył się w komisji parlamentarnej za projektem rządowym; można było jednak mniemać, że był to tylko krok taktyczny i że podczas rozpraw w Izbie nastąpi zmiana frontu. Istotnie, przy drugim głosowaniu p. Komierowski w imieniu Koła rozwiązał zagadkę, ale rozwiązał ją tak, że niewtajemniczeni w nią przedtem osłupieli.

„Zadanie — rzekł on — było dla nas bardzo trudne. Prowincje wschodnie (pruskie) naszego kraju finansowo i ekonomicznie zaledwie są w stanie dźwignąć nowe podatki. Z drugiej strony ziomkowie nasi są głęboko dotknięci w swych najżywniejszych interesach, w religii, szkole i języku. Skutkiem tego pewna część naszej (poznańskiej) prasy zajęła stanowisko przeciwne projektowi. Jeżeli więc *mimo to* głosujemy za projektem, czynimy to przez wzgląd na *uprawnione interesy państwa* (oklaski ze strony polaków, centrum i konserwatystów). Jak oświadczyliśmy się całym sercem za ustawami socjalno-politycznymi, podobnie godzimy się na projekt wojskowy, *gdyż* mowa tronowa ze stanowczym naciskiem zwróciła się do całego państwa, oraz w chęci, ażeby — jak zauważył wczoraj kanclerz — projekt ten o ile można był przyjęty jednomyślnie. Nasz rozwój historyczny świadczy, jak często broniliśmy tronu i ołtarza. Czynimy to i obecnie w mocnej nadziei, że cesarz podniesie swą opiekującą rękę dla osłony i złagodzenia cierpień ludności polskiej.“ Mówca spodziewa się, że „lojalna postawa“ tej ludności zyska uznanie rządu związkowego. „Gdybyśmy wszakże zawiedli się — rzekł w końcu —

nie na nas spadnie wina za to, że nie nastąpiło porozumienie polaków z rządem.“ Wprawdzie p. Windhorst, mądra głowa tej komety, w której ogonie toczy się Koło polskie, daje zwykle coś wtedy tylko, gdy bierze i ustępstwa wymienia na ustępstwa wzajemne; ale ta praktyczna reguła nie obowiązuje polityków poznańskich, którym wystarcza „mocna nadzieja“, że coś dostaną. Jeżeli otrzymają tylko kwitek z wyświadczonych usług i awizację dla wyborców do płacenia nowych podatków, to nie będą winni zwalania na ludność straszliwego ciężaru, bo mieli *Zuversicht*, cacankę, która im nie dopisała.

Gdzie niema żadnej logiki, tam sens łowić trudno. Niepodobna też z mowy p. Komierowskiego odgadnąć, jakie właściwie pobudki skłoniły Koło polskie do głosowania za projektem: czy „zwrócenie się mowy tronowej do całego kraju“ i „uprawnione interesy państwa“, czy zyczenie kanclerza, ażeby projekt przeszedł z „możliwą jednomyślnością“, czy chęć okazania „lojalnej postawy“ i „mocna nadzieja“ zyskania siekierki za kijek.

Zastanówmy się nad tą dziwną płataniną motywów.

Naprzód co do „uprawnionych interesów państwa.“ Jeżeli Richter cyframi dowiódł, że żadne z mocarstw ościennych nie przewyższa swą siłą zbrojną Niemiec, to cóż grozi owym interesom i przed jakim niebezpieczeństwem rycerze poznańscy chcą bronić niemieckiego „tronu i ołtarza“? Koło polskie ma swój mózg w czaszce Windhorsta, a swoje nerwy w jego partyi (ultramontańskiej), za którą idzie zwykle ślepo bez badania drogi i celu, bez uwzględniania potrzeb ludności własnej. A jednakże piąta część tej partyi, mimo uległości dla swego przewodnika, mimo wszystkich jego namów, wykrętów i zabiegów, głosowała przeciw projektowi rządowemu! Czyż Koło mniema, że bawarowie i welfowie są gorszymi od jego członków patriotami niemieckimi? Czy ono sądzi, że może i powinno dawać z siebie wzór tego patryotyzmu



demokratom i postępowcom, którzy stanęli w opozycji? Czy ono tylko naruszyłoby „jednomysłność“ w przyjęciu projektu, przeciw któremu oświadczyło się 128 posłów? Przedstawiciele Niemiec południowych, którzy przeszli do tego zastępu, nie dali się uwieść sofistyce Windhorsta i upewnieni, że państwu wystarczają obecne środki wojskowe, bronili od wyzysku podatkowego swoje dzielnice, które ich wybrały; tymczasem poznańczycy wobec tej samej pewności pozwolili się zaprząć do wozu handlarza polskich wołów i zapomnieli zupełnie o niwie rodzinnej, dla której pracować powinni. I czemuż im odpowiadano na ten popis lojalności, na ten wysiłek patryotyzmu niemieckiego ze strony tych, na których uznanie liczyli? Szyderczym śmiechem, którego tony powtórzymy w numerze następnym.

## Z AUSTRYI.

Jak w ministrze Bauerze odkryto polaka. — Zwiększenie pogotowia wojennego. — Wojna o świnię. — Serbia przepada, Bułgaria zdobyta! — Obiad delegacyjny. — Dyskusja cesarza z delegatem. — Manifest biskupów austriackich. — Preludya wyborcze.

Obrady delegacji w Peszcie toczą się trybem dość jednostajnym: ministrowie przedstawiają żądania swe o kredyty, delegacje przerażają się ogromem tych żądań, aby potem, prześcigając się wzajemnie w lojalności, wydać wyrok, który wyegzekwowanym będzie na kieszeniach poddanych. Najfatalniej powiodło się ministrowi wojny, Bauerowi, który opuściwszy na chwilę zwykłą drogę dyplomatyczną „cichych“ kredytów dodatkowych, z żołnierską otwartością oświadczył, że w najbliższej przyszłości zajdzie potrzeba zwiększenia wydatków wojskowych o 120 milionów. Po tem oświadczeniu szmer oburzenia rozszedł się po sali obrad. Można nawet przypuścić, że nie był on udanym wyrazem pieczy o dobro ogółu obywateli, którą delegaci chętnie się popisują, lecz że wyszedł mimowoli z piersi mężów stanu, widzących w budżecie wojskowym na rok przyszły poważną cyfrę 2½ milionów, uchwalonych jako nadzwyczajny wydatek na wprowadzenie prochu bezdymnego, wiedzących,

że tę kwotę niezawodnie wypadnie przekroczyć w dwójnasób i że ogólna cyfra wydatków, potrzebnych na zmiany w uzbrojeniu armii, wynosi, według zapowiedzi rządu 12, a wedle rozpowszechnionych pogłosek — 30 milionów. W pierwszej chwili sądzono, że minister Bauer żąda 120 milionów po za kosztami zmian w uzbrojeniu; to też oburzenie delegatów i prasy doszło do tego stopnia, że przypomniano sobie, iż Bauer jest galicyjaninem — a nawet polakiem mienić go zaczęto. Kiedy strapiiony w następnym dniu obrad rozpoczął powolną rejteradę, kiedy zwłaszcza oświadczył, że do wydatku 120-milionowego wliczał już koszty reform w uzbrojeniu, przestano wprawdzie wytykać mu winę pochodzenia, lecz nie uspokojono się bynajmniej. Nie pocieszyła delegatów uwaga Bauera, że wydatki tego rodzaju samym swym ogromem doprowadzić muszą do wzmocnienia ogólnego pokoju.

Główna część tych nowych wydatków przypada na kosztą zwiększenia dotychczasowego pogotowia wojennego. I tę sprawę minister z rzadką otwartością wyjaśnił delegacyom, co znów spowodowało oburzenie u kolegów jego na ławie ministerjalnej. Hr. Szapary, porwawszy się z siedzenia, oświadczył niemal szorstko, że przedwczesnem byłoby traktować sprawy, co do których oba rządy jeszcze się nie zgodziły, i że w imieniu delegacji węgierskiej żądać będzie, aby podniesione wymagania ministra wojny pogodzić ze stanem finansów węgierskich. Zważywszy, że dla zwiększenia pogotowia wojennego potrzebną jest zmiana dotychczasowej ustawy o sile zbrojnej, a odnośny projekt rządowy przyjdzie prawdopodobnie już w sesji najbliższej na porządek obrad obu parlamentów, przewidywać można długą i zaciętą dyskusję, która zwłaszcza u węgrov, jak to okazała przeszłość niedawna, przyjąć może formy groźne.

Bardziej, aniżeli tok obrad delegacyjnych, zajmuje publiczność i prasę obecnie zatarg z Serbią, który, do niedawna politycznej jeno natury, przemienił się obecnie na walkę ekonomiczną. Wiadomo, że nowy poseł Simic oburzył hr. Kalnokego i pobudził gabinet austriacki do stanowczego kroku, mimo not rządu serbskiego, dążących do zażegnania burzy. Węgierski minister handlu pod pozorem, że istnieje zaraza, wzbronil przywozu świń serbskich do Austrii. Ponieważ zaś dobrobyt Serbii w znacznej części zależy od zbytu trzody chlewnej, którą kraj ten na wielką stopę hoduje, przeto zagrożone

są żywotne interesy ekonomiczne Serbii. Hodowcy, jak zwykle, zaciągali kredyty w bankach, a skoro we właściwym czasie rynki austriackie są dla nich zamknięte, nastąpić może katastrofa finansowa. Austria w ten sposób zamysla wyrzucić nacisk na serbów i zmusić ich do obalenia rządu radykalnego i do ponownego wyniesienia Garaszanina, poplecznika austriackiego. Właśnie wrócił on do Serbii dla zorganizowania rozluźnionej partii postępowej, która sprzyja Austrii. Zaufanie bowiem do Milana ochłodziło tu znacznie a po był jego obecny w Serbii nie jest uważany bynajmniej za okoliczność korzystną dla interesów Austrii. Na razie jednak serbowie nie okazują ochoty do ulegania presji austriackiej. Simic już, bawiąc w Budapeszcie, zagroził, że serbowie chwycą się środków obronnych. Dunaj i koleje żelazne — oświadczył współpracownikowi *Egytértés* — otwierają Serbii świat cały. Dotychczas zaopatrywała się ona w wyroby przemysłowe z Austrii; lecz nie dla niej łatwiejszego, jak zwrócić się do fabryk angielskich lub francuskich. Groźba ta ziściła się rychlej, aniżeli przypuszczano: dziś już bowiem odwołano mnóstwo obstalunków większych, poczynionych w fabrykach austriackich, zwłaszcza w Wiedniu, a serbscy agenci handlowi objeżdżają równocześnie Francję. Stąd w świecie przemysłowym silna powstaje opozycja przeciw polityce hr. Kalnokego, której delegacje dopiero co przyklasnęły tak żywo; istnieje sprzeczność pomiędzy interesami zewnętrznej polityki austriackiej a ekonomicznymi jej interesami, sprzeczność, która niezawodnie, jak w podobnym wypadku wobec Rumunii, skończy się klęską przemysłowców. Hr. Kalnoky i organy jego pocieszają strapiionych fabrykantów nowym tryumfem polityki austriackiej: oto Naciewicz, mąż zaufania hr. Kalnokego, powołany został do Bułgarii, gdzie zostać ma ministrem spraw zewnętrznych. W ten sposób Austria, postradawszy wpływy w Serbii, ugruntowała je tem silniej w Bułgarii.

Niezwykłą cechą miał drugi obiad delegacyjny, wydany przez cesarza w Budapeszcie. Podczas gdy zazwyczaj monarcha przemawia do wszystkich delegatów, żądając jeno odpowiedzi na krótkie swe pytania, tym razem mówił z wybitniejszymi tylko członkami, zapuszczając się w dłuższe rozprawy i przysłuchując się uważnie wywodom. Rozmowa jego z Riegerem wyglądała niemal na dyskusję. Kiedy zauwa-

## Puk, puk!

przez

E. de Marchi.

Już było po północy, a August wciąż jeszcze stukał na dole, w swojej komórce. „A niechże cię...“, wykrzyknąłem rozniewany, wsadziłem pióro w kałamarz, poszedłem do okna, otworzyłem lufcik, wytknąłem głowę (śnieg padał!) i zawołałem ku dołowi:

— Powiedz mi, u licha, jak długo jeszcze trwać będzie ta przekłeta muzyka?

August przerwał robotę, ale w ciszy nocej wyraźnie jeszcze słychać było skrzypienie desek i brzęczenie gwoździ.

Otuliłem się dobrze w swój wyszywany w kwiaty, podbity flanelą szlafrok, rozgrzebałem ogień w piecu, wziąłem pióro na nowo do ręki i ciągnąłem dalej urwane zdanie: „...choć wszystkie sprawy ducha ludzkiego zmierzają do zadowolenia egoizmu, jak rzeki do morza, i tym sposobem niepodobna zgodzić się ze zdaniem panteistów i idealistów, którzy podkładu moralnego szukają na zewnątrz człowieka; chociaż...“

Trzeba wiedzieć, że pisałem wówczas rozprawę filozoficzną, przeznaczoną na konkurs. Była to praca, która bezwątpienia wywołałaby wiele hałasu, trzymałem ją bowiem w tonie mocno polemicznym, co jest koniecznem w obecnej dobie gnuśnego zniechęcenia. Zajęty byłem właśnie wygładzaniem wstępu: „choć najwznioślejszy sceptycyzm nie jest niczem więcej, jak tylko ubóstwieniem naszego „ja“...“

Puk, puk!

August na nowo zaczął stukać młotem, jak poprzednio. Starąłem się nie słuchać pukania i ciągnąłem dalej: „Büchner, Moleschott, Strauss, Hartmann...“

Puk, puk!

Zatkałem sobie lewą ręką ucho i pisałem dalej: „August Comte, twórca altruizmu...“

Puk, puk, puk!

To już było nie do zniesienia. Rzuciłem pióro na książkę, jedną ręką uchwyciłem lampę, drugą — kij i zszedłem o dwa piętra na dół, gdzie w oficynie mieścił się August. Miałem stanowczy zamiar dać mu porządną nauczkę. Niechże kto powie, czy podobna, aby istota ludzka prowadziła studia, tworzyła coś wielkiego i nowego, kiedy gdzieś w pobliżu, na dole, jakiś gbur nieokrzesany stuka i wali młotem!

August, o ile wiedziałem, był to syn gospodyni — niedołęga w wieku lat osiemna-

stu, długi, jak tyka chmielowa, o rudych, krótko strzyżonych włosach, z parą uszu, ciągnących się w nieskończoność, z pięknymi oczami barwy masy perłowej.

Należał on do istot rozumnych, o ile te odróżniają się od zwierząt bez przewodnictwa latarki rozumu. Tak, cokolwiekby, należał on do rzędu istot, które zdolne są odebrać sobie głowę, aby zajrzeć, co się dzieje w jej wnętrzu. Brał piłę odstolarza i pracował, jak maszyna, kiedy on sam i jego pila stawała się gorącą. Sokrates, boski Sokrates nie zdołałby z jego rudej dyni wycisnąć ani kropli soku mądrości. Żaden idealista nie uznałby w nim szczybla tej transcendentalnej drabiny, która sięga po nad obłoki.

Postawiłem lampę na ziemi, poszedłem do wąskiego okienka i ujrzałem przez szyby w oświetlaniu łojówki mojego filozofa: siedział on na stoliku i obracał w rękę jakiś niezgrabnie zbite, grube kawałki drzewa.

Zapukałem w szybę, kazałem otworzyć okienko i zacząłem krzyczeć w najwyższym gniewie:

— Czy chcesz, żeby mój kij zaznajomił się z twoją rudą skorupą, ty, krokodylu, ty? Czy to jest odpowiednia godzina? Czy budujesz szubienicę, na której jutro masz wisieć? Ty, obrzydła żyrafa!



## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

żył, że ludność czeską niepotrzebnie podburzono pustymi frazesami — charakterystycznym jest opieranie się cesarza faktowi wzrostu wpływu młodo-czechów i istocie ich żądań — Rieger odparł, że rząd powinienby uczynić, co może, to jest uregulować wewnętrzny język urzędowy. W tej sprawie — rzekł monarcha — należy baczyć zawsze na interesy służby państwowej. Doświadczenie okazuje — zauważył Rieger — że ani interes państwa, ani służby państwowej narażony nie będzie, skoro stanie się zadość wymaganiom stosunków, podobnie jak to miało miejsce w Galicyi, w Tyrolu południowym i w Dalmacyi. Do tego dojść nie powinno — odparł cesarz — aby urzędnicy władac przestali językiem niemieckim. Rieger dowodził, że obawa ta nie ziści się, skoro szkoły średnie w odpowiedni sposób będą zorganizowane a system nauczania języków zmieniony. Przypomniał również wniosek Clama, który zdążył do tego celu, nie mijając się z zasadniczymi ustawami państwa. Owszem — rzekł cesarz — kończąc rozmowę z Riegerem, reformy te są pożądane, o ile konstytucja ich dopuszcza.

Nadchodzące wybory sejmowe obecnie już żywą wywołały agitację, zwłaszcza w krajach alpejskich, które pierwsze przystąpią do urny. Biskupi austriaccy ogłosili manifest, w którym wyjaśniają motywy energicznego swego orędowania za szkołą wyznaniową i wzywają pobożnych do wybierania posłów, sprzyjających tej idei. Przypisać trzeba, że i biskupi nie zupełnie pozostali w tyle za postępem czasu; a z manifestu ich wieje poniekąd duch nowoczesny: zamiast bowiem, jako nagrodę za wybór licznych posłów klerykałnych i za popieranie szkoły wyznaniowej obiecywać ludowi wieczne zbawienie i rozkosze rajskie, zapowiadają, że szkoła taka rozwiąże groźne kwestye społeczne i zakłnie upiór socjalizmu.

W innych krajach austriackich wybory zadowalają się drobniejszymi powodzeniami. I tak na Szlązku i w Morawii prasa słowiańska cieszy się tryumfem, uzyskanym wskutek umowy czechów z polakami: jest nadzieja, że stronnictwo autonomiczne odbije Niemcom dwa mandaty. Niewielka z tego korzyść, lecz pociecha wielka.

S.

Wbrew oczekiwaniom major Panica, przewodnik spisku politycznego w Bułgarii, został rozstrzelany. Ponieważ śledztwo wykazało, że zamierzał on tylko usunąć, lecz nie zabić ks. Koburskiego, więc przypuszczano, że ten skazanego na śmierć ułaskawi. Za tem przypuszczeniem przemawiał również wzgląd na nieuprawnione formalnie stanowisko księcia, który mu zalecał ostrożność i wyrozumiałość. Tymczasem Koburg nie uległ pobudkom miłosierdzia i dbałości o stosunki zewnętrzne, lecz, nasładowując Piłata, wyjechał na czas wykonania wyroku za granicę. Czy krok ten nie był błędem politycznym — zobaczymy w następstwach. Rząd nie ujawnił dotychczas poglądów na tę sprawę, ale odzwierciedlając ich zapatrywania prasa wypowiedziała się już stanowczo. Austriacka pochwaliła energię rządu bułgarskiego, niemiecka zachowała się obojętnie, francuska rzuciła gromy potępienia. W tych różnicach odbija się obecny układ stosunków międzynarodowych. Jednym z celów podróży ks. Koburskiego po Europie jest zapewne osłabianie wrażenia, sprawionego tym wypadkiem.

Z innych jeszcze objawów wnosić można, że Bułgaria postanowiła wygrać coś ryzykowną energią. Zbliżyła się ona widocznie do Austrii, a z drugiej strony wystąpiła ze stanowczemi żądaniami do Turcyi, groząc ogłoszeniem swej niepodległości w razie, jeżeli ks. Koburski nie zostanie uznany przez Portę prawowitym władcą Bułgarii. Dotąd wszakże są to tylko zapowiedzi.

Serbią wstrząsnęły burze zewnętrzne i wewnętrzne. Naprzód sprawa trzody chlewnej, przed którą zamknięto granicę austriacką i wogóle nacisk z Wiednia, zmniejszający swej siły; powtórne wrzenie, wywołane pobytem ex-króla. Milan, który mimo wszystkich przeprosin, serdecznie nienawidzi obecnego rządu serbskiego, wyłonionego z wrogiej mu partyi radykałów, na uczcie u rektora uniwersytetu belgradzkiego wypowiedział przeciw nim ostrą mowę. Rektor dostał za to dymisyę, a Milan ma go mianować guwernerem syna. Zostawmy te sprzeczności: ojciec małoletniego monarchy gromi rząd, działający w imieniu jego syna, a przytem daje młodemu królowi za opiekuna człowieka, którego rząd królewski usunął z urzędu. Trudno wyobrazić sobie cudaczniejsze powikłanie stosunków.

Cesarz niemiecki rozpoczął znowu szereg swych niezmordowanych podróży. Z Danii pojechał do Szwecyi, a stamtąd zapewne podąży gdzieindziej.

Bismark wysapał się już nieco z gniewu i zmieknął, ale nie przestaje od czasu do czasu uderzać głową o mur. Gdy żadnego z kilku opróżnionych miejsc w sejmie nie ofiarowano mu, oświadczył, że jeszcze teraz o mandat poselski ubiegać się nie będzie. Przypisują mu także uczestnictwo w wydaniu broszury przeciw układowi anglo-niemieckiemu.

Brukselska konferencya przeciw niewolnictwu zakończyła swoje obrady następującymi uchwałami: 1) należy zorganizować stały nadzór nad koloniami w Afryce, gdzie operują handlarze niewolników; 2) utworzyć stacye zbrojne; 3) budować drogi i koleje żelazne; 4) zaprowadzić parowce na rzekach i jeziorach afrykańskich oraz linie telegraficzne. Następne artykuły określają szereg zakazów, dotyczących przywożenia broni oraz posiłków dla przedsięwzięć prywatnych, mających na celu tamowanie nielegalnego handlu, wreszcie do tych życzeń dołączone są przepisy rewidowania okrętów.

Europejscy posłowie Stanów Zjednoczonych zawiadomili swój rząd, że mocarstwa, zagrożone w swych interesach protekcyjnym systemem cel Ameryki, zamierzają wypowiedzieć jej wojnę ekonomiczną.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### POD TEN SAM STRYCHULEC.

Zbliżyła się chwila, gdy zakres działania prawa fabrycznego w swej zmienionej postaci, co do przepisów o pracy kobiet i dzieci, zostanie rozszerzony i na zakłady *rzemieślnicze*. Jakkolwiek to rozszerzenie działania jego zależne ma być od sankcyi ministra, od względów, czy to by nie stanęło w drodze rozwojowi rzemiosł, sam sposób powstawania ruskiego prawa fabrycznego nie daje powodu do przypuszczeń, żeby wyzysk, zaczajony w ciemnych kryjówkach drobnego kapitału, śmiało długo uragać humanitarnym dążnościom przepisów normujących. Każdy, kto choć pobieżnie śledził koleje, przebywane przez nasze prawo fabryczne, spostrzedz musiał rys charakterystyczny. Oto po każdym trzyleciu, w cią-

August w istocie podobny był do żyrafy; osobiście w tej chwili, gdy rozsiadł się z wiszącymi nogami, z oczami utkwionymi w górę, z długą szyją, która obracała się na wszystkie strony, wraz z czerwoną małą głową — przypominał on mocno to zwierzę pustyni.

— Co pan każe, kochany panie? — rzekł, zatrzymując spojrzenie na zasuwce drzwi.

— Chcę, żebyś natychmiast przestał..

— Moja robota już prawie gotowa...

— Szubienica?

— Nie, krzyż, kochany panie.

— Co za krzyż?

— Dla mojej biednej matki.

August pochylał się to w jedną, to w drugą stronę, jak wierzbą pod wiatrem; wreszcie obrócił się do ściany.

— Kiedyż umarła twoja matka? — zapytał po krótkim milczeniu.

— W tamtym tygodniu... w szpitalu. Poszedłem odwiedzić ją... Był już wieczór... prawie wieczór. Wcale nieznać było, że jest tak źle z nią. Naraz zaczęła krzyżeć: „Umieram!.. umieram!.. umieram!.. Pobiegnę po dozorę chorych... Ksiądz przyszedł także... Ale nie powiedziała już nic więcej... nie więcej...”

August zdrapywał machinalnie paznokciem wapno ze ściany i ciągnął dalej:

— Mój majster nie chciał mi dać kawałków starej żaluzji; przepiłowałem więc de-

ski z mojego łóżka. Powiada on także, iż kradnę mu czas, w którym winienem pracować przy warsztacie...

— Ale czy wcale nie pomyślałeś o tem, że twojem pukaniem przeszkadzasz wszystkim sąsiadom?

— Tak, pan ma słuszność, kochany panie; zejść do piwnicy.

Znajdowałem się znowu w moim ciepłym pokoju i siedziałem w miękko wysłanym fotelu:

„...bodziec wszystkich naszych występów, powodująca przyczyna naszych obowiązków, a nawet naszych ofiar — gdzież indziej da się odnaleźć, jeżeli nie w samym subiekcie?

...Puk, puk!..

Z piwnicy dochodził stłumiony odgłos, jak gdyby pochodzący z grobu: zdawało się, że to puka pogrzebany żywce, zdawało się... To nic nie było — ja wiem o tem — ale kiedy pisze się i myśli, wówczas powiew skrzydeł komara wytwarza huragan.

„...Słusznie zauważył Lange, że świat atomów, z ich wibracjami, wydaje mu się chłodnym i obcym; metafizyka, a wraz z nią wszelka myśl o opatrności, o nieśmiertelności duszy jest porywaniem się naszego „ja“ na niebo...”

Z powodu tego zdania oczekiwałem najwyższego oburzenia ze strony moich przeciwników; ale doprawdy czas już był, ażeby

nauka uwolniła się od hamulców ślepego uczucia...

Puk... puk!..

„Dopóki nie powiemy sobie, że duch, dusza, sumienie, są to tylko abstrakcyjne słowa, które służą jedynie dla scharakteryzowania jednego z najwybitniejszych momentów organizacyi, zwanego życiem...”

Puk... puk!..

„...dopóty nie pójdziemy ani na krok dalej. Niema zjawisk po za życiem, nie tedy nie może powstać inna droga, jak tylko drogą — organicznych kombinacyi, z których wypływa życie...”

Puk... puk!..

„...a kombinacye te są podrządkowane istnieniu...”

Puk... puk... puk... puk!

Na jedenastu, dwunastu wieżach miasta wybiła pierwsza. Żadnego szmeru na ulicy, w podwórzu; tylko w piwnicy August walił młotem dalej.

Na ulicy trwała śnieżna zawierucha; ale gdy się siedzi w ogrzonym pokoju, gdy się jest otulonym w wyborny szlafrok, gdy ma się na nogach doskonałe pantofle filcowe — to i najpozytywniejsze myśli trzymają się ciepło; a jednak tej nocy niepodobna mi było związać porządnie dwu: byłem zirytowany, zniechęcony, rozdrażniony — zaledwo udawało mi się uchwycić jakąś myśl, na-



gu którego czasowo, rodzajem próby działa, przechodzi ono pewne fazy postępowo-rozwojowe. W jednym kierunku pod wpływem doświadczenia traci niektóre paragrafy, w innym znów z bogactwem się nowymi, które niewątpliwie stanowią rozumne ustępstwo naglącej rzeczywistości i zarazem służą za dowód postępowego wzmagania się humanitarności, rozpiętej coraz bardziej szczupłą literą prawa. Takim losowi uległy przepisy o pracy kobiet i dzieci z r. 1885. Zawieszono je, jako skrzydło opiekuńcze nad upośledzoną siłą roboczą, a jako miecz Damoklesa — nad kapitałem, ale na trzy lata tylko, w obawie, czy biedaczek z swoją „techniką produkcyjną“ wytrzyma. Próba wypadła poniekąd pomyślnie. Przepisy, mające moc obowiązującą do kwietnia r. b., zostały nadal przedłużone, a tymczasem zrobiono ich poprawną edycję. Jakkolwiek w swoim czasie (w nr. 12 *Prawy* z b. r.) pisaliśmy już o projekcie rewizji rzeczonych przepisów, ale dziś, z powodu sankcyi Najwyższej, przejrzymy je jeszcze raz przynajmniej w wybitniejszych punktach. Otóż przez zmianę i uzupełnienie odpowiednich artykułów księgi I-ej prawa fabrycznego (Zbiór praw, tom XI cz. II, wyd. z r. 1887) uchwalono następujące przepisy:

1) Przy zachowaniu ogólnego przepisu o długości czasu pracy małoletnich, zawartego w artykule 114 prawa fabrycznego, małoletni najmici w wieku od 12—15 lat, o ile tego wymaga technika produkcji, zatrudniani będą w fabrykach i zakładach przemysłowych do *sześciu* godzin z rzędu, ale pod warunkiem, że ogólna długość dnia roboczego w danym wypadku nie przewyższy *sześciu* godzin. Właściciel zakładu przemysłowego, korzystający z pracy małoletnich na powyższych zasadach, winien donieść o tem miejscowej inspekcji fabrycznej.

2) Jako wyjątek od tego stanowi przemysł hutniczy, gdzie małoletni w oznaczonym wieku mogą być dopuszczeni do pracy nocej w ciągu *sześciu* godzin na dobę, lecz z warunkiem, że następnego dnia będą zajmowani po upływie *dwunastu* godzin, od chwili zwolnienia z roboty nocej.

3) Zatrudnianie małoletnich od 12 do 15 lat w niedzielę i dni świąteczne może być dozwolone, ale w takich fabrykach, gdzie w tym czasie robotnicy dorosli pracują oraz za pozwoleniem głównego inspektora, zawisłym od przedstawienia miejscowych organów inspekcji.

4) Praca nocna wyrostków od lat 15 do 17 oraz kobiet ma być wyłączona w zakładach przemysłowych wytwarzających: wyroby bawełniane, płóciennie, wełniane, w przedziałniach lnu i fabrykach tkanin mieszanych, tj. wogóle w przemyśle przedziałniczo-łkackim, szkodliwym dla organizmów słabszych. Zakaz ten, po przednim porozumieniu się miejscowych organów dozorczych z ministerjami spraw wewnętrznych i skarbu oraz zawiadomieniu fabrykantów przed upływem terminu najmu robotników, może być również rozciągnięty i na *inne* zakłady przemysłowe.

5) W wypadkach, godnych szczególniejszego uwzględnienia, mianowicie po długiej, spowodowanej nieszczęściem przerwie robót w fabryce lub w czasie wielkich przedjarmarcznych zamówień, komisye do spraw fabrycznych, a gdzie ich niema — gubernatorzy pozwalają mogą wyrostkom 15 do 17-letnim oraz kobietom na pracę nocną w tych zakładach przemysłowych, gdzie ona jest wzbroniona osobom wymienionym, ale z warunkiem, żeby te ostatnie w ciągu dnia następnego dopuszczane były do zajęć dopiero *po południu*. Nadto rzeczono władze mogą pozwalać wyrostkom i kobietom na pracę nocną w zakładach, podległych wzmiankowanemu ograniczeniu, w takim razie, jeżeli jednocześnie z nimi pracować będą ich głowy rodziny.

6) W zakładach, gdzie trwa nieprzerwanie *osiemnastogodzinna* praca dzienna z dwiema zmianami, przepisy o pracy kobiet, dzieci i wyrostków winny być stosowane w następujący sposób: a) małoletni w wieku od 12 do 15 lat mogą pracować tylko *dziesięć* godzin na dobę, przy trwaniu roboty nie dłużej nad *cztery i pół* godziny z rzędu; b) czas nocny, wzbroniony dla małoletnich, w wieku od 12 do 15 lat, wyrostków od 15 do 17 lat i kobiet — liczy się od godziny *dziesiątej wieczorem* do godziny *czwartej rano*.

Takie jest brzmienie tych przepisów, poddanych przejrzaniu prawodawczemu. To nowe wędziło na wybryki kapitału, jak widzimy, jest poniekąd łagodniejsze od poprzedniego. Bezwzględność zakazu pracy nocej w myśl życzeń „techników produkcyjnych“ zmniejszono i zaopatrzone w furtki, które przy pewnych okolicznościach, za zgodą wyższych władz, będą otwierane. Na straży działania tych przepisów stanie odnośny artykuł kodeksu karnego (z r. 1885), opiewający za wyłamywanie się z pod nich najwyżej areszt miesięczny lub grzywnę, nie-

przenoszącą *stu* rubli. Z dniem ogłoszenia niniejszego prawa, dzieci, które nie doszły lat 12, nie będą przyjmowane w *żadnym* razie do dziennych robót fabrycznych, chociaż biorące już w nich udział, zgodnie z zasadą niedziałania wstecz nowowydanego prawa, pozostać mogą nadal przy zajęciach w warunkach niedozwolonych. Przepisy te wraz z przepisami o pracy i nauczaniu małoletnich, wyłożonymi w artykułach 112—126 prawa fabrycznego (Zbiór praw, tom XI, cz. VI, wyd. z r. 1887), mają być rozciągnięte na *zakłady rzemieślnicze*, w miarę pożytku i utrzymują tam moc obowiązującą w ciągu trzech lat. W tym obrębie czasu ostateczny wniosek, w sprawie ich stosowania do pomienionej formy produkcji, zostawiony będzie uznaniu Rady państwa.

To nowe prawo wprowadzone będzie w wykonanie z dniem 1 (13) października 1890 r., stosowanie zaś przepisów co do nieprzyjmowania dzieci, młodszych nad lat 12, oraz kary za wyłamywanie się z pod ograniczeń, rozpocznie się na zasadach ogólnych z chwilą ich ogłoszenia.

Jeszcze raz podkreślimy nowy rys naszego prawa fabrycznego, mianowicie rozszerzenie jego działania na zakłady *rzemieślnicze*, czyli na mały kapitał. To postawienie drobnej produkcji pod jednym strzechulcem z wielką jest dla nas faktem wielkiej doniosłości: równa się to postawieniu dwu niejednakowej siły ludzi w podobnych, lecz trudniejszych warunkach działania. Jednocześnie z zadośuczynieniem wymaganiom humanitaryzmu, pojawi się w łonie mniejszej produkcji nieznany dotąd czynnik i zaważy na szali jej istnienia w dotkliwy sposób. Nim wielki nasz przemysł ulegnie zapowiedzianej przez niecierpliwych statystyków i pochopnych wróżbitów zagładzie, warto pamiętać o tem niejednakowym ciśnieniu na dużych i małych — regulamentacji prawnej.

Dzieje zachodnich prawodawstw fabrycznych nas uczą, że w chwili, gdy przepisy tych ostatnich, w postaci zakazów lub surowych ograniczeń pracy dzieci i kobiet, krępowały wielką produkcję, to wielki kapitał umiał sobie złożyć szersze koryta wytwórczości, za pomocą udoskonaleń technicznych, i zawsze pozostawał panem rynków. Ale oko dozoru prawodawczego, zwrócone na drobne warsztaty rękodzielniczo-rzemieślnicze, te same reguły zastosowane do małej produkcji, ale drobny kapitał ujęty w kluby dnia normalnego (nieuświęconego prawem) i przepisów o pracy kobiet i dzie-

tychmiast ploszyło ją niestające, przekłete pukanie.

Zły wlałem pod kołdrę i zagasiłem lampę. Cały tłum obrazów obiegł mnie, rzucił się na mnie. Myśli okrągłe i grube, cienkie i ostre, idee abstrakcyjne, nalane w aptekarskie flaszki, nagromadzały się przede mną... Następnie wszystko to poczęło wirować, unosiło się w dzikim tańcu „powodujących przyczyn“, po bezpłodnym, usianym krzyżami stepie. August znajdował się w środku, miał w ręku miotłę. Na sklepieniu nieba wznosiła się szubienica, na której świecił napis: „zamał jaźni.“

Nareszcie zasnąłem. Spałem do samego rana. Kiedy otworzyłem oczy, przez okna moje wpadał blask słońca, pięknego styczniowego poranku, wraz z połyskiem zaciśniętego ogród śniegu. Na gzymsie okna ćwierkały przeziębłe i zgłodniałe wróble. Biedne stworzonka! Cóż obchodzą je wszystkie nasze głupstwa? To tylko pewne, że okruszynka chleba sprawia im więcej uciechy, niż nam cała nasza wiedza.

Widziałem Augusta; nadawał właśnie zieloną barwę krzyżowi, który tkwił w kupie śniegu; kończył robotę.

Miał na sobie swoją odzież niedzielną; na głowie jednak nosił słomiany kapelusz, przy spojrzeniu, na który już mróz przechodził do kości.

— I cóż ty teraz z tem zrobisz? — zapytałem go, otwierając okno.

— Dzień dobry, kochany panie! Dzisiaj jest niedziela i dziś właśnie chcę go postawić na grobie... Właśnie ci, co umierają w szpitalu, nie otrzymują wcale krzyża. Chowa się ich we wspólnym grobie. Ale ja znam grabarza, to mój brat cioteczny — nie wiem, czy go pan widziałeś? Zezuje na lewe oko. Powiedziałem mu: „Ludwiku — mój brat cioteczny nazywa się Ludwik — jeżeli moją biedną matkę usuniesz, to w niedzielę ci zafunduję.“ Ale mój brat, który zresztą lubi pić, odpowiedział: „Co fundować? Dla ciotki Maryanny uczynię to i tak.“ I położył ją gdzieś, w kątku. Dzisiaj trzeba tylko grób zasypać ziemią i śniegiem.

August obtarł sobie oczy ręką i malował dalej.

— Weź to, Augustcie! — rzekłem, rzucając mu parę srebrnych monet, zawiniętych w papier.

— Dziękuję, dziękuję, kochany panie — zawołał ze łśnięciem obliczem. Zamknąłem okno, zasiadłem przy biurku i napisałem nowym piórem: Księga pierwsza. Rozdział pierwszy.

Od tej chwili przeszły już trzy miesiące. August nie stuka już młotem, ale często słyse go, jak wywodzi trele na dole, w swojej komóreczce. Dzieło moje nie jest jeszcze ukończonem. Duch mój długie godziny, jak-

by w osłupieniu, zatrzymuje się na jakiejś sentencji, która wziętnie na końcu mego pióra i nie chce przelać się na papier.

Jaskółki powróciły i fiołki kwitną na nowo; w ogrodzie stoją drzewa brzoskwinio-we, obciążone owocem; wiosna stroi zielenią pola, cmentarze i ubogie, drewniane krzyże. A jednak jakiś wielki smutek, niby mgła listopadowa, obejmuje mą duszę: dla mnie nie się nie rodzi, nie nie umiera. Wszystko rozpóściera się przede mną, jako masa, pozbawiona możliwości uczucia i odczuwania; wszystko w swojej ogromnej wielkości kręci się wokół siebie, jak koło. Otwieram okno.

August gwizdże i wraz z nim gwizdże kos, który siedzi w klatce, wiszącej przed jego oknem. Skąd się u nich bierze ta wesołość?

Wczoraj zawezwałem lekarza i spytałem go:

— Czy czasem nie jestem chory, doktorze? Czuję tutaj coś... i wskazałem mu serce. Doktor pomacał mi puls, przyłożył rękę do czoła, później ucho do sera.

— Co pan słyszy, doktorze?

— Co słyszę? — jakies „puk, puk,“ kochany panie!

Przekł. L. B.



ci — wprost odwrotnych skutków doczekać się mogą. W walce współzawodniczej, przy nierównych warunkach, niejedyn drobny poborca „nadwartości bezwzględnej“ koziółka wywróci... Setka zaś rękodzielni i warsztatów rzemieślniczych, użytkujących dotychczas nieograniczenie z taniej siły roboczej kobiet i dzieci, i mających premium asekuracyjne w rozciągniętym po za granice słusznym dniu roboczym, upadkiem swoim lub powolnym zanikaniem — zostawi po sobie miejsce opróżnione. Choć przemysł wielki rynkowi zewnętrznemu nad wewnętrznym daje pierwszeństwo, nie omieszkaj przecież skrzydła opiekuńczego roztoczyć nad osieroconymi przez drobną produkcję spożywca krajowymi.

Mam tylko na myśli ogólną dążność, zastrzegając się co do szczegółów, o ile o nasz grunt ekonomiczny idzie w danych warunkach. Są u nas ludzie, co już dziś, wysiłkiem wyobraźni odtwarzając z okrucich i pewnych zabiegów obecnej doby szachownicę naszej przyszłości, ustawiają na niej figury i układają z nich kombinacje zbyt jednostronne, doznając zawrotu głowy wobec rozścielających się przed nimi widoków — sklepiarstwa i drobnych warsztatów. Podstawy wielkiego przemysłu naszego, podważone współzawodnictwem Wschodu i pobożnym życzeniem ich, drżą; Rauowie i Handtkowie ustępują z widowni rodzimej, wprowadzając wraz z sobą nieznosną „armię robotniczą.“ Oczyszczono po nich pole ma zająć — kto? Chłop na wsi i rzemieślnik w mieście, a do pomocy im — szkoły zawodowe itp. rzeczy. Uznawszy więc całą doniosłość we właściwych granicach proponowanych przez Tow. pop. przemysłu i handlu szkół fachowych, zwracamy uwagę na jeszcze jeden powyżej opisany — nowy czynnik.

Zyg. Piet.

## LISTY WIEDEŃSKIE.

28 czerwca.

Jubileusz dziesięcioletniej działalności Juliana Dunajewskiego jako ministra skarbu.

Dnia 26 czerwca minęło lat dziesięć, odkąd Julian Dunajewski objął tekę ministra finansów. W starożytnym pałacu na Himmelpfortgasse, niegdyś zamieszkanym przez Eugeniusza Sabaudzkiego, gdzie obecnie mieści się ministerium finansów, obchodzono dzień ten uroczystie. Jest to, bądź co bądź, fakt niezwykły, że minister skarbu utrzymać się zdołał w Austrii przez lat dziesięć i to właśnie w okresie, w którym konsumpcja ministrów była większą, niż kiedykolwiek. Austria niewiele miała ludzi ze zdolnościami pierwszorzędnymi na tem stanowisku, a mniej jeszcze szczęśliwych, dobijających się powodzenia. Dzielnego Brucka odnosił klęskę po klęsce; za czasów jego skarb państwa bywał o tyle próżnym, że Austria musiała zaciągać długi u pomniejszych bankierów wrocławskich. Brestel na lat parę podźwignął finanse, lecz stało się to kosztem spokojnego rozwoju ekonomicznego: rok 1873 przyniósł katastrofę i spowodował na nowo deficyt. Darremnie Depretis pasował się z tym dziedzicznym wrogiem Austrii. Dunajewski uporządkował finanse austriackie o tyle, że stworzył — choć pozornie — budżet państwa bez niedoboru, co kredyt Austrii znacznie podniosło. Skarb, pełniejszy, niż kiedykolwiek, umożliwia ministrowi od czasu do czasu większe kwoty gotówką oddawać na usługi ogólnego obiegu pieniężnego. Oceń działalność Dunajewskiego, jeżeli ma być sprawiedliwa, nie może wychodzić wyłącznie z punktu widzenia interesów galicyjskich. Galicya korzysta z działalności jego o tyle, o ile finanse monarchii się poprawiają; państwo nie może mu uczynić zarzutu, iżby protegował na niekorzyść innych

krajów Galicyę; ona zaś twierdzić nie może, iżby o niej zapominał i nie uwzględniał jej interesów, o ile to bez ujmy dla państwa dążyć się może. Jeżeli cyfry na wiarę zasługują, obraz działalności Dunajewskiego przedstawia się w sposób następujący: w r. 1880 wydatki wynosiły 423,451,018 złr., dochody 398,277,766 złr., zatem *niedobór* 25,173,252 złr. W r. 1890 budżet wykazuje wydatki w wysokości 546,303,035 złr., dochody — 548,820,006 złr., zatem *nadwyżkę* 2,516,971 złr. Oprócz zwykłego etatu pokrył Dunajewski ze zwiększonych dochodów następujące wydatki nadzwyczajne:

Budowy nowych kolei i uzupełnienie dawnych linii		
Budowle monumentalne	złr.	130,281,000
Wydatki na uzbrojenia	"	9,624,000
Regulacja rzek	"	41,297,000
Budowa portu w Tryeście	"	17,929,000
Akcyje ratunkowe i wsparcia	"	2,475,000
Splata asygnał salnarnych	"	7,322,000
Uśmierzenie powstań w Bośni i Dalmacji	"	30,600,000
Razem	złr.	259,902,000

Przypomnieć sobie należy, że niemało z tych milionów przeszło do Galicyi na koleje, budowle szkolne, fortyfikacje, jako też na akcye ratunkowe.

Zadanie Dunajewskiego było tem trudniejsze, że kiedy powołano go na ministra skarbu, nie miał on żadnej prawie rutyny praktycznej w operacjach finansowych, żadnych nie posiadał stosunków w świecie finansowym i w żadnym nie był związku z biurokracją finansową. Trudno odmówić mu wielkich zdolności: ceniony dawniej jako teoretyk i mówca, dokonał wiele, jako praktyk. Inna rzecz, jak system, zapomoć którego osiągnął on równowagę w budżecie państwa, odbija się na ekonomicznych stosunkach krajów austriackich. Podatki wyszrubowane do możliwych granic, upadek rolnictwa, zarówno większej, jak mniejszej własności, ciężkie stosunki przemysłowe i handlowe — oto ślady żelaznych kroków zwyciężkiego ministra. Lecz należy przyznać, że Dunajewski sam nie przeocza tych skutków, wywołanych koniecznością i że uregulowawszy budżet państwa, nie uważa on jeszcze zadania swego za spełnione. Przygotowywa on dziś wielkie reformy, które mają na oku głównie interesy poddanych. Zniesienie wiedeńskiej linii akcyzowej jest pierwszym krokiem na tej drodze, korzystnym dla ludności, niekorzystnym dla państwa. Projektowana reforma podatku konsumpcyjnego również w tym duchu jest pomyślana. Co więcej, Dunajewski przygotowywa najtrudniejszą z reform na polu podatkowym — zmianę podatku dochodowego, mającą usunąć najbardziej rażące niesprawiedliwości w rozkładzie, a uwieńczyć chce działalność swą rozwiązaniem najmniej trudnego zagadnienia na polu finansów państwowych — unormowaniem waluty. Reformy te wyszły już z okresu rozważań teoretycznych. Wówczas dopiero, skoro w życie wstąpią, Dunajewskiego nazwać będzie można najdzielniejszym z austriackich ministrów skarbu.

Stwosz.

## BADANIA NAUKOWE.

### NEORITTERYANIZM W GEOGRAFII.

Tak więc ową niezdolność do stworzenia cywilizacji wyższej, przypisywaną przez Letourneau'a jedynie potępionej rasie murzyńskiej, spotykamy też wśród znacznej części rasy białej i prawie wśród całej żółtej. Zresztą wszystkie wielkie cywilizacje historyczne były produktem mieszaniny najróżnorodniejszych elementów etnicznych, gdzie określenie nawet przybliżone udziału białych, żółtych i czarnych jest niezmiernie trudne. Tak np. cywilizacja egipska, zdaje się najstarsza i najbardziej odosobniona ze

wszystkich, była jednak wytworem czterech grup etnicznych, różniących się między sobą barwą skóry i innymi cechami antropologicznymi. Śród tych czterech poznajemy trzy grupy Letourneau'a: człowiek *biały Tamahu* (nazwa, którą nosi dotąd ludność afrykańska, podobna do europejskiej a żywna przez arabów tuaregami); człowiek *żółty Amu*, z rysami semiickimi, mniej lub więcej zmieszany z elementem turańskim; człowiek *czarny Nahasiu*, z włosami krętemi. Grupa czwarta, która nie znajduje miejsca w klasyfikacji Letourneau'a, która jednak grała, zdaje się, rolę główną w państwie faraonów, jest to lud *Roł* albo *Retu*, synonim hieroglificzny biblijnego *Lud* (l. mn. *Ludim*) z cerą *czarną*, bez wątpienia identyczny z tą ludnością barwy ceglastej lub brunatnej, która od czasów przedhistorycznych osiadła na obu wybrzeżach morza Czerwonego, w Palestynie i Syrii; resztki tej ludności znajdują się jeszcze w okolicach przyłodka Guardafui, nad górnym Nilem i na południowym wybrzeżu Arabii. Cywilizacja egipska była więc cywilizacją metysów z krwią murzyńską, a jednak aryowie europejscy nie byłiby się stali tem, czem są dzisiaj, gdyby za pośrednictwem fenicyan i helenów nie byli otrzymali spuścizny po cywilizacji egipskiej.

Przejdźmy teraz do drugiej potężnej cywilizacji, która może się współubiegać z cywilizacją doliny nilowej, mianowicie do cywilizacji mezopotamskiej. Spotykamy tutaj na progu historii toż samo pomieszczenie się krwi, ras, co i w dolinie nilowej. Na długo przed pojawieniem się elementu aryjskiego, inne elementy, turańskie i semiickie współpracowały na polu tej cywilizacji, ale i te miały poprzedników z cerą ciemniejszą, nawet niż u wielu murzynów. Byli to kusztowie. Otóż według wielu uczonych (Maspero, Lenormant), tym czarnym należy się zaszczyt otworzenia drogi cywilizacji, po której mieli kroczyć ich następcy.

Przestąpmy dalej nieprzebytą prawie zaporę Solimann i przeniesmy się na wschód, do tej krainy, gdzie najszlachetniejsza gałąź rasy uprzywilijowanej, aryowie, odbyła swój pierwszy występ na arenie historii. W czasie swego przybycia do dzisiejszego Pendżabu aryohindowie znaleźli tam już cywilizację wyższą od ich własnej (Burnouf), a stworzoną przez pierwotnych tamtejszych mieszkańców drawidzkich, o cerze czarnej, to jest przez gałąź tych samych kusztów, których już spotkaliśmy w Egipcie i Mezopotamii i którzy od murzynów różnili się tylko mniej welnistymi włosami.

Zresztą typ murzyński nie jest bynajmniej ściśle określony: ci co poznali zbliżka ludność Afryki (Livingston, Stanley, Bastian, Hartmann, Fritsch itd.), zgadzają się na to, że niepodobniestwem jest przeprowadzić ściśle granicy między murzynami i niemurzynami.

Jeżeli byśmy, mimo to wszystko, co było wyżej powiedziano, przypuścili, że różne rasy posiadają przez dziedziczość specjalne zdolności do odgrywania pewnych ról w historii, to jakbyśmy odpowiedzieli na następujące pytania:

1-o. Dlaczego grupy etniczne tak blisko spokrewnione, jak kurdowie i niemcy, afganie i anglicy itd. grały w dziejach ludzkości role tak dalece różne?

2-o. Dlaczego w różnych peryodach historycznych hierarchia ras ulegała przemienieniom, przechodziła z jednej rasy na drugą? W czasach np. gdy kusztowie zapalili w Mezopotamii i Indostanie pochodnię cywilizacji, która w ciągu wieków, przechodząc z rąk do rąk, dostała się nam, socjologom-ethnografom owej epoki mogliby z zupełnym prawem patrzeć z góry na ludy z jaśniejszą barwą skóry i zaliczyć je do „potępionych.“ I rzeczywiście w podobny sposób, według Herodota, zapatrywali się kapłani egipscy na helenów, którzy, mimo swej jasnej skóry, byli prawie jeszcze tro-



glodytami wtedy, gdy negroidzi doliny nilowej już od trzydziestu lub czterdziestu wieków cieszyli się wysoką cywilizacją.

3-o. Dlaczego losy historyczne pewnej grupy ludności zmieniały się tak często, podczas gdy jej charakter etniczny i antropologiczny nie ulegał zmianie? Fellahowie dzisiejszego Egiptu np. tak podobni do swych przodków z czasu faraonów, nie mają jednak żadnego wpływu na historię.

Powiedzą nam, że to degeneracja? Ależ termin konwencyonalny nie wyjaśni zjawiska historii.

Więc rasy nie są to pierwotne i niezmiennie dane historyi; są to raczej produkty przystosowania się do różnych środków geograficznych i socjalnych. Znane są modyfikacje, jakim ulegli anglo-saksowie i murzyni w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Śród holendrów Transvaalu zdarzają się wypadki tej steatopygii, która bywa uważana, jako cecha charakterystyczna rasy hotentockiej, a przecież nienawiść i pogarda, jaką boerowie żywią dla tej rasy, nie pozwalają przypuszczać tutaj objawu skrzyżowania.

Ciekawe badania, prowadzone przez wiele lat w więzieniach Mediolanu i Turynu przez Lombrosę, odkryły istnienie w wielkich miastach Lombardyi i Piemontu pewnej odmiany ludzi, która przez swe cechy antropologiczne odstępowała znacznie od typu normalnego ludności Włoch północnych. Zbliża się ona raczej do „rasy żółtej“ przez swą barwę skóry, przez włosy proste, twarde i czarne itd. Typ ten Lombroso nazywa *człowiekiem kryminalnym* i dla wyjaśnienia istnienia tego typu barbarzyńskiego śród najbogatszych miast dzisiejszej Italii, ucieka się do hipotezy najmniej prawdopodobnej, mianowicie, że ludzie ci są szczątkami jakiejś tajemniczej ludności pierwotnej, której cechy wskutek atawizmu zachowały się aż do naszych czasów, pomimo różnych kolei, krzyżowań i migracji. Tymczasem już sam ten fakt, że reprezentanci tego typu są daleko liczniejsi w wielkich miastach, niż w odosobnionych wioskach, wystarcza do obalenia atawistycznej teorii Lombrosa. Liczni pisarze, a szczególnie Alfred Wallace, dowodzą, że otoczenie, do którego ludzie zmuszeni są przystosować się w wielkich miastach Europy, jest daleko mniej korzystne dla rozwoju antropologicznego, aniżeli warunki życia na archipelagu Malajskim i w innych krajach barbarzyńskich. Człowiek kryminalny Lombrosa przedstawia nam więc jedynie przykład rasy zdegenerowanej, wytworzonej przez środek degenerujący; a ponieważ rozwój pauperyzmu w miastach Lombardyi i Piemontu nie sięga zbyt odległej daty, więc nie potrzeba akumulacyjnego działania aż całych peryodów geologicznych na to, ażeby w organizmy fizycznej człowieka wywołać znaczne zmiany, doniosłe pod względem historycznym i socjologicznym.

Ta rasa „potępiona“, produkt endemiczny nędzy naszych wielkich miast, nie ogranicza się niestety do Włoch: znajduje się ona wszędzie, gdzie znajduje się otoczenie, sprzyjające jej rozwojowi. Badacze tej rasy kryminalnej, zauważywszy, że występek, wypaczenie zmysłu moralności i degeneracja typu w pewnych rodzinach przechodzi z pokolenia na pokolenie, przypisują przyczynę tych zjawisk nie niekorzystnym warunkom otoczenia, lecz samej dziedziczności. Dla nas — mówi Miecznikow — dziedziczność jest tu czynnikiem drugorzędym: utwierdza on tylko cechy nabyte pod wpływem niekorzystnym otoczenia. Zwolennicy dziedziczności kierują się metodą niezbyt naukową: za każdym razem, gdy dostrzegą przenoszenie się cech z ojca na syna przez kilka generacji, przypisują to dziedziczności, a jednak zdarza się często, że syn postawiony w warunkach tych samych, w jakich żył ojciec, mógł nabyć tych samych cech pod bezpośrednim wpływem otoczenia. Syn uczonego poświeca się zawodowi nau-

kowemu, syn jego furmana pozostaje furmanem, syn złodzieja złodziejem. Być może, iż każdy z nich otrzymał w spadku po rodzicach pewne zdolności specjalne, ale przez swe urodzenie każdy znalazł się również w warunkach otoczenia, określających bieg jego życia.

Jako nowy przykład rasy czyli typu antropologicznego, wytworzonego przez wpływ otoczenia, a utrzymanego przez dziedziczność, wymienimy kretynizm. Typ ten występuje, jak wiadomo, endemicznie w niektórych dolinach górskich w Sabaudyi i Szwajcaryi, jak również na Kaukazie, w Andach Kolumbii i w górach chińskiego Szeczuenu. Tutaj znajdujemy się wobec faktu krańcowego, w którym antropoplastyczny wpływ środka staje się dotykającym. Można by tutaj wspomnieć również *typy profesjonalne*, to jest cechy, jakie pozostawia na człowieku długie zajmowanie się pewnym fachem. Podczas gdy cechy, po których antropolog rozpoznaje rasy, są niezdecydowane i omylne, to obserwator uważny potrafi we wszystkich krajach rozróżnić ludzi oddających się różnym fachom: kowali, rolników, rybaków i marynarzy, żołnierzy, księży, uczonych itd. Jeżeli więc ówczesne w pewnym kierunku może wytworzyć w indywidualach zupełnie różnego pochodzenia cechy wspólne, bardziej rzucające się w oczy niż cechy rasowe, to tem bardziej mogą to uczynić te wpływy ścisłe, nieustanne i skomplikowane, które obejmujemy mianem środka lub otoczenia. Dziedziczność jest ważnym czynnikiem, lecz nie jest on w stanie uwolnić rasy od decydującego wpływu otoczenia.

Nie można jednak zaprzeczyć, że *wpływ otoczenia w ciągu dziejów ulega zmianom*; te same okolice w różnych czasach grały różne role historyczne. Europa, przodująca obecnie w cywilizacji, była pogrążona w barbarzyństwie wtedy, gdy cywilizacja przyświecała żywym blaskiem w innych okolicach globu dziś opustoszałych. Ileż to miast Egiptu i Azji zapisało na wieczne czasy swe imiona na kartach historii, a dziś nie pozostało po nich ani śladu lub tylko ruiny, zasypane piaskiem pustyni; koczownik depce po nich, nie więcej świadomy ich upadłej wielkości, jak stada pasące się pod jego strażą.

Czasem te zmiany historyczne bywają po części wynikiem geologicznych lub klimatologicznych *zmian otoczenia*. Podobnie jak losy historyczne narodów, tak i rozmaite okolice naszej planety nie pozostają bez zmiany w pochodzących wieków. Tak np. z dawniej zatoki Latmickiej pozostało tylko nieznaczne jezioro, niemające połączenia z morzem i otoczone bagniskami, których wyziewy zarażają powietrze; reszta zatoki została wypełniona osadami rzeki Meander. Starożytny Milet, który tej zatocy zawdzięczał swe wielkie znaczenie, owa sławna stolica federacji jońskiej, stała się obecnie nędzną wioszczyną (Palatia). Jednakże mieszkańcy Miletu mogliby się jeszcze bronić przeciw zamuleniu zatoki, gdyby nie to, że „puls historii“ przestał bić w tych okolicach. Podobnież zmiany klimatyczne, np. osuszenie krain śródziemnomorskich i Azji centralnej mogą po części wpływać na losy historyczne, po części jednak są ich wynikiem (np. wskutek wyniszczenia lasów, zapuszczenia kanałów itp.).

W każdym razie zmiany, jakim podlega otoczenie, zmiany klimatu i gruntu są w porównaniu bystrej zmianami historii nadzwyczaj powolne. „Dzisiaj, jak za czasów Pliniusza — mówi Edgar Quinet — hiacynt rośnie w Galii, barwinek w Ilirii, storkotka na ruinach Numaneyi i podczas gdy dokoła miasta zmieniły swych władców i swe nazwy, a nawet przepadły w nieości, podczas gdy cywilizacje zostały podrugotane i starte, te ciche kwiatki przetrwały wieki i przez liczne generacje doszły aż do naszych dni zawsze jednako świeże i powabne.“

Otoczenie więc, *niezależnie od jego zmian*, wywiera w różnych czasach różny wpływ na objawy dziejowe. „Wiadomo — mówi Reclus — jak potężnym był korzystny wpływ otoczenia na rozwój ludów europejskich. Ludy te zawdzięczają swą wyższość nie cechom swej rasy, jakby ktoś dumnie mógł przypuszczać, gdyż w innych okolicach ziemi rasa ta okazała się mniej twórczą. Raczej szczęśliwe warunki gruntu, klimatu, konturu i położenia Europy przyniosły jej mieszkańcom zaszczyt poznania całej ziemi i zdobycia palmy pierwszeństwa pośród całej ludzkości... W każdym razie nie należy zapominać, że kontury lądów i mórz i wszelkie warunki geograficzne mają w dziejach ludzkości wartość zmienną odpowiednio do stanu kultury, na jakim stały ulegające ich wpływom narody. Tak np. góry, które pierwotnie przebiegali tylko pasterze lub myśliwi i które stawiały tamę stosunkom międzynarodowym, mogą w epoce wyższej cywilizacji ściągnąć górników i przemysłowców i dzięki drogom przez nie przeprowadzonym przestać być zaporą dla komunikacji. Mała przystań morska, gdzie się zatrzymywały wężle statki naszych przodków, leży dziś opuszczona, podczas gdy wielka zatoka, unikana dawniej, obecnie zaś zabezpieczona od falowania groblą, stała się schronieniem wielkich okrętów. Te zmiany wartości historycznej warunków geograficznych trzeba dobrze zachować w pamięci. Badając przestrzeń, należy wziąć w rachunek drugi ważny element — czas.“

Biorąc to w rachubę, Miecznikow stawia sobie pytanie, czy nie da się, mimo tej zmienności, wynaleźć jakiegoś uogólnienia, jakiejś formuły syntetycznej, wyrażającej związek pewnego środka geograficznego z każdą fazą dziejowego rozwoju. Formułę tę znajduje Miecznikow w znanym już dawniej geograficznym podziale historii ludzkości na trzy fazy: *rzeczną, śródziemnomorską i oceaniczną*. Pierwsza rozwija się w zależności od wielkich rzek, mianowicie Nilu i wielkich bliźnich rzek Azji; druga, w zależności od rozczłonkowanych wybrzeży morza Śródziemnego, wdzierającego się głęboko między trzy części starego świata; trzecia, w zależności od oceanu, obejmuje coraz bardziej całą ziemię: z doby początkowej *atlantyckiej* przechodzi coraz bardziej w *pacyficzną* (rozwój Australii, Kalfornii, otwarcie Japonii, Chin, postępy Rosji nad Amurem), a nawet we *wszechceaniczną*, bo ocean Indyjski ożywił się już dawniej, dzięki kanałowi Suezkiemu, a ocean polarny także z czasem zostaną bezwzględnie wciągnięte w coraz rosnący wir cywilizacji.

Zgodnie z wyżej wymienionym tytułem książki, autor zajmuje się pierwszą z trzech powyższych faz — wpływem wielkich rzek (Nil, Eufrat i Tygrys, Indus, Ganges, Hoangho i Jengtsekjang) na rozwój dziejowy. Traktowane tutaj przez Miecznikowa kwestye są wogóle znane geografom, ale rozwija on je i uzasadnia bardziej szczegółowo, niż to przed nim czyniono. Słusznie np. uważa on, że cywilizacje powstały nad rzekami — nie jako nad takimi, nie jako nad arteriami komunikacyjnymi, lecz dlatego, że wielkie prace regulacyjne nakazywały solidarność — „solidarność lub śmierć!“ W Ameryce cywilizacja powstała nie nad wielkimi rzekami, ale w każdym razie tam, gdzie warunki przyrody stawiały człowiekowi to samo wymaganie: wybrzeża jezior o zmiennym poziomie wód śród suchych wyżyn mogły stać się siedliskiem kultury tylko przez solidarną pracę nadbrzeżnych mieszkańców. Wiadomo, że tu i tam, jako podstawa tej solidarności, rozwijał się despotyzm: wszędzie pojęcie władzy, rządu wiąże się z pojęciem wody i jej regulacji.

Kończąc nasz referat o książce Miecznikowa, nadmienimy jeszcze, że tu i owdzie napotkać w niej można właściwe ucho-



nym francuskim usterki na punkcie geografii fizycznej. Tak np., pomimo badań Hanna, Miecznikow (wraz z Reclusem) wyprowadza Föhn z Sahary, a pomimo badań Zittla, wierzy w istnienie dyluwialnego morza saharskiego i tem objaśnia epokę lodową (brak Föhnu) itp. Błędy te jednak nie naruszają w niczem głównej idei Miecznikowa, a książka jego czyta się tem przyjemniej, że dźwięczy w niej wszędzie szlachetna nuta ogólnie ludzka, jak to zresztą należało się spodziewać po autorze, „którego życie było poświęcone obronie słabych i uciskanych.“

W. Nałkowski.

#### OSTATNIE POSTĘPY

### ANTROPOLOGII KRYMINALNEJ.

Przeglądając prace, napisane z powodu badań antropologicznych nad zbrodniarzem, między innemi zdaniem można spotkać też jedno, że cała antropologia kryminalna jest tylko chwilowym nieporozumieniem; co więcej, nie braknie nawet proroków, przepowiadających, że wszystkie wysnute w tej mierze teorie okażą się niebawem najzwyczajszą bańką mydlaną. Nie będziemy przesądzać przyszłości, lecz jeśli mowa o dniu dzisiejszym, musimy zauważyć, że gromadzenie odnośnego materiału antropologicznego posuwa się niezwykle szybkim krokiem, oraz że stawiane na jego podstawie żądania reformy prawnej znajdują coraz liczniejszy a gorliwszy zastęp rzeczników. Właśnie mamy obecnie pod ręką nieznaną pracę Cezara Lombroso, w której autor zdaje sprawę z postępów antropologii kryminalnej za ostatnie dwa lata \*). Zauważył on, że wobec szerokiego rozrostu odpowiednich poszukiwań i rozrzucenia ich po mnóstwie czasopism specjalnych, trudność uprzytomnienia sobie rozwoju tego ruchu wzrasta niepomniernie; wydane dziełko ma zatem na celu usunięcie tej niedogodności przez zwięzłe zestawienie i streszczenie poszczególnych prac i badań. Zresztą uczony włoski przekroczył w znacznym stopniu zakres granic i w książce swojej dał nie tylko krótkie przedstawienie ostatnich postępów antropologii kryminalnej, lecz także streszczył całokształt swojej teorii, rozpatrując wzajemny stosunek różnych postaci zbrodniczych: przestępcy urodzonego, przypadkowego, wreszcie politycznego, tak, iż mamy tutaj przewyborny a krótki przegląd zasadniczych uogólnień i zdobyczy w tej dziedzinie poszukiwań. Tę dodatnią stronę książki jedynie zaznaczamy wobec tego, że czytelnikowi *Prawdy* są znane wszystkie te wyniki ostateczne; wyjątek stanowi teoria przestępstwa politycznego, lecz o niej wkrótce pomówimy obszerniej, korzystając z ukazania się w języku włoskim nowej a zbiorowej pracy Lombrosa i Laschi o tym przedmiocie. Podobnie odłożymy na później, mianowicie do chwili wyjścia *Zbrodniarza urodzonego* w przekładzie polskim, zarzuty poważniejsze, stawiane badaczowi włoskiemu, z których, lubo często nader niezręcznie, usiłuje on oczyścić się w nowej swej pracy. Wspomnimy tylko, że są one nader doniosłej natury i nie tyle skierowane przeciw samej antropologii kryminalnej, wraz z jej zastosowaniami praktycznymi, ile przeciw wyjaśnieniom i hipotezom osobistym jednego z jej ojców.

Przechodzimy jednakże do zdania sprawy z dokonanych postępów.

Należy wciąż uważać Włochy za główną siedzibę poszukiwań antropologicznych nad zbrodniarzem. Badania te stają się coraz drobiazgowszymi i obejmują bezustannie nowe dziedziny. Z świeżych nazwisk wypa-

da przede wszystkim wymienić doktorów Frigerio i Ottolenghi, wreszcie profesora Gradenigo. Pierwszy przeprowadził liczne studia nad ukształtowaniem ucha, ostatni zaś pogłębił w dalszym ciągu te badania, które u niego objęły przeszło 300 obłąkańców i jeszcze większą liczbę przestępców, pewną ilość kretynów i wreszcie do 25 tysięcy turyńczyków, dorywczo oglądanych. Ottolenghi w podobny sposób odbywał badania nad kształtami nosa, rozwojem smaku, składem moczu u zbrodniarzy. Między innemi czynił on poszukiwania nad obfitością i chwilą nastania zmarszczek u zbrodniarza w porównaniu z człowiekiem zwykłym. Okazało się ze studyów nad przeszło 400 osobami, że przed rokiem dwudziestym piątym zaledwie 7% wśród „uczciwych“ ludzi posiada zmarszczki na czole, tymczasem u zbrodniarzy liczba ta podnosi się aż do 34% itd. Lecz przede wszystkim zasługują na uwagę badania Marra. Podczas gdy wyżej wymienione obracają się około jakiejś jednej cechy szczególnej, Marro zajął daleko szersze stanowisko, mianowicie jał się udowodnienia, że zamiast jednolitego, istnieją kilka odmiennych typów zbrodniczych, posiadających właściwe sobie cechy fizyczne i duchowe i uprawiających każdy odrębne rzemiosło przestępcze. Weźmy chociażby częstość neuropatyzmu wśród różnych tych kategorii, a znajdziemy u podpalaczy aż 85%, zabójców 45%, włóczęgów 38%, złodziei 36%, gwałcicieli 33%, rabusiów przydrożnych 23%. Albo też zatrzymajmy się nad namietnością szulerską: wśród gwałcicieli podlega jej 66%, złodziei 63%, włóczęgów 59%, zabójców 37%, podpalaczy 14%. Niewątpliwie zebranie podobnego materiału statystycznego rzuci nader wyraziste światło na duchową i fizyologiczną naturę poszczególnych odłamów zbrodniczych. Rzecz ciekawa np., że według poszukiwań Marra włóczęgowie odznaczali się mnóstwem wadliwości, sprowadzających za sobą niezdolność do nateżonego a systematycznego wyładowania energii życiowej w jakimkolwiek kierunku; nawet brak im właściwości anatomicznych, takich, jak potężnie rozwinięta szczeka lub łuk nadocny, idących zwykle w parze z przedsiębiorczym i silnym charakterem. Do tego dodać należałoby jakąś niemoce umysłową i częstość epilepsji. Podpalacze znowu są zwykle obłąkańcami i podobnie obłąkanych posiadają rodziców. U zabójców przeważa rozwój tylnej części czaszki; dolna szczeka odznacza się potężnymi rozmiarami, kości policzkowe — rozwojem; broda bywa rzadka, wole na gardle częste, ramiona długie. Gwałciciele są niewielkiego wzrostu, lecz znacznej wagi, z krótkimi ramionami, wązkim czołem, częstą nienormalnością nosa i organów płciowych, wreszcie niewielkiej inteligencji. Różne kategorie rabusiów i złodziei odznaczają się pociągami ku tatuowaniu, pochodzeniem od alkoholików i neuropatyków, odruchowością. Z poszukiwań Marra okazuje się, iż u kobiet wpływy społeczne występują silniej, niż u mężczyzn, u których znowu przeważa podkład antropologiczny.

Nie wyliczamy innych badań specjalnych nad zbrodniarzem. Zauważymy tylko właściwość jedną, coraz wybitniej występującą ze wszystkich nad nim prac, mianowicie jakąś wprost dziwną nieczułość na ból, a jednocześnie szczególną nadwrażliwość na zmiany barometryczne. Z rozpraw źródłowych o duchowości zbrodniarzy warto zaznaczyć pracę Gauthiera, który posadzony do więzienia na lat kilka, zużył swój czas na prowadzenie odpowiednich studyów.

Natomiast zatrzymamy się nad obfitością wciąż wzrastającą badań w zakresie antropologii kryminalnej. Dzisiaj posiada ona już trzy specjalnie sobie poświęcone czasopisma w samych Włoszech; inne wychodzą w Hiszpanii, Francji, Rosji. Nadto liczne wydawnictwa naukowe stale zajmują się tym przedmiotem. W Buenos-Ayres nawet

zawiązało się szczególne towarzystwo w celu prowadzenia odnośnych badań; założyło ono odpowiednie muzeum kryminalno-antropologiczne i wydaje stały buletyn swych czynności. W Paryżu podczas wystawy odbył się już drugi międzynarodowy zjazd antropologów-kryminalistów. Wszystko to świadczy o rożroście nieustającym tej nauki. Lecz ten rozwój faktów znajduje się w nader ścisłym związku z różnemi zagadnieniami praktyczno-społecznymi w dziedzinie prawodawstwa kryminalnego i z konieczności pociąga za sobą coraz liczniejsze żądania reformy. Najważniejszym krokiem w tym kierunku jest zorganizowanie Związku międzynarodowego dla reformy prawa karnego. W odezwie wstępnej, pod którą podpisało się przeszło 300 najzwyczajszych przedstawicieli prawodawstwa kryminalnego z różnych krajów Europy, czytamy jakby streszczenie wymagań antropologii zbrodniczej. Odezwa ta głosi, że pierwszą koniecznością w celu zapoznania się ze zbrodnictwem jest zbadanie samego przestępcy; że dzisiejsze środki zapobiegawcze są tak samo mało skuteczne, jak i stosowane kary; że zamiast krótkiego uwięzienia należy wprowadzić inne środki; że należy wyróżnić występki z przyzwyczajenia od przypadkowych. W sierpniu roku zeszłego związek odbył pierwszy swój zjazd w Anvers i obradował nad niezbędnością reformy karnej, zgodnie ze wskazówkami antropologii i socjologii. Uderzono tutaj silnie między innemi na kary więzienne i zamiast więzienia rozpatrywano inne, jak: wypłata odpowiedniej sumy, prace publiczne na świeżem powietrzu z noclegiem prywatnym, areszt domowy — naturalnie w razie szczególnych występów. Podobne kwestye podniesiono na nieco wcześniejszym zjeździe prawników portugalskich w Lizbonie (w kwietniu 1889 r.). Tutaj podobnie jasno postawiono konieczność dokonania zmian w kodeksie karnym, zgodnie ze wskazówkami wiedzy antropologicznej, co więcej, zgodzono się na to niemal jednogłośnie. Po za tymi doniosłymi dowodami oddziaływania praktyczno-społecznego poszukiwań nad naturą zbrodniarza, Lombroso przytacza mnóstwo drobniejszych — np. podawanie przez uniwersytety tematów do nagrody w rodzaju heidelbergkiego: zastosowanie prawne wynikające z danych antropologicznych o naturze zbrodniarza.

Słowem, antropologia kryminalna czyni wyłom coraz znaczniejszy w dotychczasowej metafizyce kryminalnej i opartem na niej postępowaniu karnem. Lecz swoją drogą wszystkie te usiłowania, teoretyczne i praktyczne, bezwarunkowo postępowe wobec dawnych systemów, noszą na sobie szczególne znamię — mieszczańskiego porządku rzeczy. Myśl krytyczna, która z taką śmiałością występuje przeciw dawnym rupieciami metafizycznym, nie może w żaden sposób przebić muru przesądów i skutków indywidualizmu ekonomicznego i wyswobodziwszy się z jednych błędów, pokornie przyjmuje inne, jako wieczne i nieuchronne.

K.

#### LITERATURA I SZTUKA.

### PRE-RAFAELIŚCI.

Miss Mare Robinson.

Pre-rafaeliści wskrzesili romantyzm: macie tu i resztki „Weltschmerz-u“ i idealizację średnich wieków i religijne zachwyty i chorobliwe spaczenie miłości. Jeżeli wszakże czysty romantyzm był tworem młodego mieszczaństwa, zwycięskiego wykonawcy pierwszorzędnej roli historycznej, to pre-rafaelizm angielski — zarówno jak i francuski dekadentyzm — jest pieśnią łabędzią zgrzybiałej i obumierającej klasy mieszcza-

\*) *L'Anthropologie criminelle et les récents progrès.* Paryż.



skiej, która wykonała cały obieg swego rozwoju i obecnie chyli się do upadku.

Proszę zauważyć, iż najważniejsza cecha pierwotnej romantyki, nadmierny rozwój indywidualizmu, który targa wszelkie pęta i niszczy wszelkie powagi, w współczesnych bardzo mieszczaństwie zaniknął. Na początku naszego stulecia duch ludzki rozkładał swe kajdany w sztuce, zarówno jak i w polityce — romantyzm był wówczas kierunkiem postępowym. Obecnie zamienił się on w bezsilne kwilenie i szlochanie; jego zaś pesymizm jest dość płytki i zupełnie chorobliwy. Jeżeli z romantyki wyrzucicie hipertrofię ludzkiego „ja“, która była najcharakterystyczniejszą cechą tego kierunku, to cóż zeń pozostanie? Nic. Gotyckie łuki w naszych czasach są śmieszne; Nôtre Dame de Paris czyni wrażenie pasztetu w wystawie rzeźniczej, a jeżeli kogoś widok tych wieżyczek i łuków w zachwyt wprawia, to wieszujemy, iż tak dobrze zamarynował sobie ducha. Co się tyczy rycerskiej galanterii, „okrągłego stołu“ (round table) hr. Alfreda, turniejów itp. rupieci, to wysiłki największych talentów dla wskrzeszenia ich czynią wrażenie, jakby ktoś odważał w duszy naszej stare, zardzewiałe drzewczki: po za niemi na chwilę ukazują się wypłowiałe widmo — jak spalona, pstrasyba — i znika. Pozostaje jeszcze miłość platoniczna, a raczej mistyczna i chorobliwa. Jeżeli Morris, Rossetti, Swinburne, Tennyson są piewcami romantycznej średniowieczyzny, to miss Mary Robinson, Sapho szkoły pre-rafaelistycznej opiewa taką właśnie miłość. U dekadentów francuskich kobieta nie jest zawsze „vase taciturne“ (Baudelaire); miłosne ich zapęły musi często poskramiać polica obyczajów (police des mœurs); u romantyków angielskich jest ona także skrzywioną i nienaturalną, ale pozostała bardziej idealną.

Lecz oto jej przebieg, jak ją p. Robinson z własnego doświadczenia przedstawia. W dwudziestym roku życia autorka poczuła, iż to, co jej dotąd wystarczało, naraz przestało wystarczać. Zajęcia, nawet tak przyjemne, jak muzyka i poezja, zubożały; nie mogła doczytać książki lub dokończyć robótki; przywiązanie rodzinne przestało wypełniać jej serce, zjawiała się w niem luka. Instykt podszepcywał, w jaki sposób można ją zapełnić. To też nie dziwnego, że, gdy młoda dziewczyna klękała do modlitwy, to niechęć z ust wyrwały się takie prośby: „Panie, natchnij mnie miłością! Udziel mi błogosławieństwa miłującego dusz uciśnienia; harmonii oczu i rąk, które się łączą; dreszczu i ekstazy pocałunku, uświęcającego miłość!“ Pożądana nie zjawiała się wszakże — strach mroził serce: a nuż przejdzie i nie wstąpił „Nagie i bezmyślne“ życie ciężce zaczęło. Psotnik Amor długo kazał czekać na siebie — nareszcie się zjawił i rozgościł w gorącym sercu, lecz na krótko. W opisach swego chwilowego szczęścia autorka jest nader powściągliwą — może ją przestrasza trywialność wypadków tej historii, „jak świat starej, awiecznie nowej“ — „dość, że, uchylając rąbek swych wspomnień, daję ona nam co najwyżej następujące obrazy. Pewnego razu on ofiarował jej gałązkę oliwną, by się ochłodziła wśród gorąca: „Dales mi ją bez słów i ukłonów i było to po raz pierwszy, gdyś cię nazwała *my love* (mą miłością).“ Dotąd wszystko w porządku: kocha go tkliwie i szczerze. „Błagałeś się wśród samotnej pustyni — mówi doń — ja ci dałam mą duszę, byś pił z niej, jak ze źródła.“ Chorobliwa wszakże nutka, dobrze znana u romantyków, przebiegała się już w tym okresie szczęścia. „Kochaj mnie dziś — woła namiętnie — i zapomnij o jutrze; chodź, weź mnie za dłoń i wyjdźmy w pola; zapomnijmy o wszystkich naszych smutkach, by mówić o morzach, po których bując będziemy i o różach z Bengalu krwawych i złotych, z których wód będziesz wianki, gdy umrę.“ Ale wkrótce romans się

urwał. Autorka nie wtajemnicza nas w przyczyny nieszczęśliwego końca chorobliwej sielanki z „miłującym pielgrzymem.“ Może miłując, obliczał i znalazł, że posag sentymentalnej panny jest za mały na nasze drogie czasy, a może też nie dorósł do stanowiska i nie potrafił prowadzić konwersacji o wiankach, splatanych z róż krwawych i złotych? Po czyjej stronie wina, nie wiadomo, ale dość, że miss Robinson „pozostała samotna na skale i śpiewa sama, sama, sama“, a nawet „przyczepiła do łona girlandę cyprysu, by zabić swe serce.“ Bez zartów, jeżeli autorka w ósmym lat dziesiątku naszego stulecia pozostała tak sentymentalną, to nie dziwnego, iż „miłujący pielgrzym“ — pójdę o zakład — uciekł! Bo gdzież to słychane rzeczy, by uważać miłość za „serca pęknięcie i ręk umierających łamanie?“ Szkoła wielka, iż miłość autorki nie jest „dzieckiem spokojnem o dobrem sercu, które wyciąga swe wargi do pocałunków karesujących“, lecz „duchem, który się trawi sam w sobie, cierpi i obraca nawet marzenia w rozpacz“ (The New Arcadia. Love among the saints).

Miłość „demoniczna“ wyszła z mody „elle a fait son temps“, jak mówią francuzi, a zresztą trudno w tej dziedzinie ustanowić jakiekolwiek przepisy: „rozkażać snadno!“ — mogłaby nam z ironią odpowiedzieć miss Robinson. Niechaj więc każdy kocha na swój sposób, ale nie wolno zapominać, iż nawet „wydęta poezji technicem“ i wzniesiona na fantazyi skrzydłach, ma miłość za podstawę przyrodzony popęd, a głównie, jest uczuciem egoistycznym, któremu w życiu odpowiednie tylko miejsce przeznaczyć można. Charakterystyczną jest rzeczą, że romantycy z pierwszej połowy naszego stulecia oś życia przesuwali często w różnym od miłości kierunku. Tak np. Gustaw nie utonął w swej czarnej rozpacz, lecz odrodził się, jako działacz społeczny. Inaczej postępują romantycy współcześni. Miss Robinson pogrążyła się w żalobę bezgraniczną: smutek beznadziejny przepelnił jej serce i oto już od lat kilkunastu wpadła ona w melancholię, która nie ma sił przeklinać, lecz skarży się tylko głosem znużonym. Jest olbrzymia różnica pomiędzy pesymizmem romantyków, a pesymizmem pre-rafaelistów lub dekadentów. Tamte ciemności są przepowiednią świtu — tam promień już się przedziera. Tu panuje noc beznadziejna. Pesymizm jest często wylewem dusz, skazanych na bezczynność: takim był on u romantyków za czasów Restauracji, krzykiem zbuntowanych duchów. U współczesnych epigonów romantyzmu jest on newrozą, chorobą ducha, a głównie — woli. Pesymizm Byrona jest orzeźwiający, jest pobudką do walki; pesymizm pre-rafaelistów jest snem bezmyślnym.

Dusza wrażliwa, gniewiona przez warunki, często sarka i przeklina życie i ludzkość, ale, przeklinając, kocha zarazem. Taki pesymizm ma zwykle obszerniejsze, społeczne przyczyny za podstawę. U pre-rafaelistów i dekadentów, wogóle u wszelkich przedstawicieli obumierającego mieszczaństwa, jest on tylko bankrutem osobistym, w swoim rodzaju anemią moralną, na którą ogólniejsze warunki bardzo tylko nieznaczny wpływ wywierają. Z konieczności wszystko, nawet marzenia, w rozpacz się zamieniać muszą. Niema tu ani energii rokосу, ani chęci czynu. „Pośród ruin niedokończonego dzieła siadam i zapytuję: *Po co?*“ — mówi miss Robinson.

Tylko zrzadka autorka przestawała grzebać się w ranach swych zewnętrznych i odkrywała wzrok od nich. Wówczas dostrzegala „Ciemnotę, Nędzę i Występek, przykucające u jednego ogniska“, widziała młodą dziewczynę, oszukaną przez kochanka, opuszczoną przez krewnych, jak pokonana przez zimno i głód, zmuszona jest wykupić hańbiący bilet prostytutki — widziała ją pijaną, chwycającą się na nogach, wyjąca

bezpieczne piosenki, i zaniepokojona, panna Robinson zapytuje: „Kto jest odpowiedzialny za zbrodnię? Ona, kochanek, czy bracia? Czy też ja, która nie uczyniłam ani jednego poruszenia?“ Autorka trąca tu prawdę łokciem. Tak, pani, to twój bezecny sen, twój samolubny popęd, odziany w tak piękną i fantastyczną tkanę przez rozigraną wyobraźnię, twoja bezczynność i nieświadomy wysysk, i podobne zalety całej armii tobie podobnych popchnęły tamtę nieszczęśliwą na ulicę. Dziwna rzecz, że też żaden poeta-romantyk w pięknym, światowym bohaterze nie spostrzeżę młodego patrona, tęczącego się cudzą pracą, że też nie widzi, iż delikatne sadło, lśniące pod białą skórą „piersi srebrzystych“ i „łabędziej szyi“ nadobnej bohaterki, wysysane zostało ze znoju lic wybladłych! Autorka słabo to przeżywa.

Ale niestety chwilowe przebłyski godności ludzkiej szybko gasną. Pani Robinson układa się znowu do snu bez końca, gdyż „litość i współczucie“ także ją „nużą“, a zresztą z obojętnością daleko jej lepiej do twarzy. „Noc bezgraniczna zapanała w jej duszy“ — układa się więc znowu do swego „far niente.“ Przestała walczyć: napróżno bowiem przykładała spragnione usta do życiodajnej piersi natury, napróżno szukała zapomnienia w szumiącym kielichu użycia, napróżno starała się stworzyć sztuczną atmosferę obowiązków — nie nie potrafi zapełnić pustki jej serca i... głowy. Jest to newroza, na którą lekarstwa niema.

Jedyna jej pociecha pozostanie w Bogu. Ale, niestety, p. R. nie wierzy. „Bieg życia sprowadził mi wielkie zło: zabrał mi wiarę szczęśliwych — mówi ona — i od tego czasu błąkam się po świecie ludzi, jak widmo wygnane z kraju cieniów.“ „Nauka“ pozbaWiła ją wiary, ale tak samo, jak niema szlachcica, któryby, stawszy się demokratą, szczególnie polskim, nie czuł w głębi duszy szacunku dla ślepej wrony lub oślego ucha, sterczącego mu z herbu, również niema kobiety, która straciwszy wiarę, zachowywałaby w jakimś skrytym zakątku serca malutkiego bożka. „Pozostawiam obecnie, jako bezsilne, modlitwy, które niegdyś dawały mi ulgę i dusza moja, jakkolwiek niema już ojca, uchyla się z wiarą daleko gorętszą przed *boskimi* nieobjawionem“ — mówi autorka. Wreszcie przytoczymy namiętną jej modlitwę, która jest zupełnie słuszną. „Zaiste, zbyt długo bawię tu, na dole z memi nudami i tęsknotą: znaczy to zabierać miejsce innych. Mieścież litość, o wy, siostry, przadki odwieczne, mieścież litość! Opusćcie pasmo stargane, zerwijcie splątany kłębek, błagam was! I nawiąże świeżą nić, zdrowszą i mocniejszą.“ Są to ostatnie echa przebrzmiałego „Weltschmerz“ — dodajcie do tego chorobliwą miłość, damy blade o miłosnych spojrzeniach, minstreli grających na złotej lutni, która się okazuje sercem autorki — a otrzymacie wszystkie, oddawna znane sztuczki i efekty romantyzmu. A jednak miss Robinson jest pod wielu względami oryginalną: wspaniały styl, głębokie uczucie, polot fantazyi — oto jej zalety. Pierwsze twory silnie przypominają wprowadzie Keatsa Shelleya, a głównie D. G. Rossettiego, ale za to „Nowa Arkadya“ (1884), „Ogród włoski“ (1886) i nareszcie „Pieśni i ballady“ (1889) są zupełnie samodzielne. Ponieważ autorka jest jeszcze młoda — liczy trzydzieści lat zaledwie — więc miejmy nadzieję, iż otrząśnie się z czasem ze swej dość bezmyślnej melancholii — a wówczas zajmie ona niewątpliwie pierwsze miejsce na parnacie angielskim, chociażby dlatego, iż źródło poezyi wyszło w Albionie, a istniejący jego śpiewacy — to starcy, spoglądający w grób.

Leon Winiarski.



## T E A T R.

K. Zalewski, *Oj ci mężczyźni, mężczyźni!*, krotchwila w 4 aktach.

„Och mężczyźni, mężczyźni!“ — z taką niezbyt surową apostrofą, występuje p. Zalewski przeciwko podstarzałym lowelasom, którzy miłosnymi listami swej przyjaciółki, p. Amelii Tichard, wprowadzają często nieporozumienie między młode stadła małżeńskie. Listy takie, pozostawione w mieszkaniu pod nieobecność kochliwego „wujaszka“ Bisturkiewicza, biorą do siebie dwaj młodzi małżonkowie, znajomi owej damy z kawalerskich czasów i starają się uprzedzić wizytę, jakoby im zapowiedzianą, właściwie zaś wujaszekowi, do którego z żonami zajechali w gościnę. Skutkiem tych starań żony posądzają mężów o zdradę, rzecz zaś całą ma wyjaśnić wezwany na naradę ojciec jednej z żon, Onufry Kretoński, były adwokat. Lecz i ten, oczarowany wdziękami i wzruszony zmysłową opowieścią o nieszczęściach Amalii Tichard, sam w jej sidła wpada. Z niepewnego położenia wyprowadza wreszcie wszystkich przyznanie się do grzechów samego wujaszka, który miał sposobność przekonać się, że przyjaciółka zdradzała go dla herkulesowych kształtów artysty cyrkowego, nazywanego „człowiekiem latającym.“ Poważnione stadła małżeńskie godzą się i wszystko wieniec koniec, godny najlepszego ze światów. Tylko poprzednio owa dama, będąca przyczyną tylu nieporozumień doświadcza niespodzianie silnej ręki „artysty“, który wpadłszy podechmielony do jej buduaru, tłucze wszystkie sprzęty ozdobne, przyczem i wujaszekowi coś się dostało.

Oto nader zwięzła treść sztuki, którą p. Zalewski przybrał w formę czteroktowej krotchwili. Jest ona rodzoną siostrzą wielu tego rodzaju sztuk francuskich, którym, niestety, zbyt często przypatrywać się musimy na scenie warszawskiej. Spotykamy też tam postacie znane, a nawet obce nam zupełnie, jak francuskiej kokoty i cyrkowego berejtera. Charakteru więc swojego krotchwila ta nie posiada; nie zabarwia jej nawet w ten sposób p. Onufry Kretoński.

Najlepiej, zdaniem naszym, udała się autorowi francuska i służący bogatego wujaszka. Tym postaciom, wziętym z życia, p. Z. przypatrzył się doskonale i umiejętnie przeniósł je na scenę.

Występujący artyści, szczególnie p. Lądowa i p. Rapacki, grą koncertową tuszowali nieco pieprzną przyprawę sztuki. Posiada ona bez zaprzeczenia wiele zalet scenicznych, żywo i dowcipnie toczący się dyalog a w 1 i 3 akcie wiele obrazów pełnych werwy i humoru.

Nazwa krotchwili może rozgrzeszy autora z owej sytuacji, w której artysta cyrkowy bije sprzęty i... ludzi w buduarze francuski, a nas zwolni od szukania głębszych zamiarów autora.

Cień.

## FEJLETON.

## LIBERUM VETO.

Reforma gimnazyów klasycznych. — Prawdziwe jej rysy i różnice w odniesieniu do szkół naszych. — Jubileusz przewodnika młodzieży. — Zgon *Kłosów*. — Pożegnanie pp. Lewentala i Pluga. — Straty materialne i krzywdy moralne. — Przyczyny ataków. — Przeniesienie własnych zasług. — Kurczenie się naszej prasy. — Rada. — Wskrzeszona postać wielkiego poety. — Przybliżony rachunek jego wpływu.

Według pism ruskich, reforma gimnazyów klasycznych skryształizowała się już w Radzie państwa na podstawie projektu ministra oświaty i od nowego roku szkol-

nego ma być zastosowaną. Zaprowadzone wszakże przez nią zmiany nie sięgają tak głęboko i daleko, jak snute z samej pogłoski domysły dziennikarskie. Jak wiadomo, dziwnie czasem kapryśny los dał obecnie węgrowi rolę wyrabiania nowych modeli dla życia społecznego. Po zaprowadzeniu opłat strefowych za jazdę kolejami żelaznymi, powzięli oni równie śmiałą myśl usunięcia ze szkół średnich języka greckiego. Myśl ta zaproszyła fantastyczne głowy i zrodziła w nich przywidzenie, że i w wypadku bliżej nas obchodzącym nastąpi powolna lub szybka zagłada klasycyzmu. W możliwość sprawdzenia się podobnego snu na jawie nie wierzyliśmy — i słusznie. Niema bowiem mowy o usunięciu dawnego systemu edukacji publicznej, tylko o poprawieniu go w niektórych punktach. Jak donoszą tedy *Russk. Wiedomosti*, mają być pomnożone lekcje: religii, historii, zwłaszcza ruskiej, języka ruskiego i rysunków, zmniejszone zaś: greckiego i geografii. Zaznaczyć przytem trzeba, że zmiany te dotyczą głównie gimnazyów w Cesarstwie, od których odchylają się znacznie w swym typie tutejsze. Tak np. w pierwszych język ruski ma 2—3 godziny tygodniowo, w drugich — 6, powiększenie ich zatem odnosi się do pierwszych. Wogóle, zanim nowa ustawa zostanie ogłoszona urzędownie, nie należy ogłaszać jej artykułów w prasie brać dosłownie, lecz pamiętać o tych różnicach, które ona w dotychczasowym ustroju szkół napotka i które utrzyma. Bądź co bądź, podstawa klasyczna gimnazyów pozostanie niezmienną.

Lato jest zwykle porą zjazdów koleżeńskich, których w tym roku odbyło się lub odbędzie kilka. Między innymi wszakże wyróżniono w opinii publicznej zebranie uczniów szanownego pedagoga Jana Pankiewicza, którzy uczcili 50 rocznicę jego pracy nauczycielskiej. Praca taka jest cicha, jej dowody zamykają się w bezpośrednim stosunku kształcących z kształconymi; jedyńcem więc świadectwem jej wagi społecznej jest wdzięczność ludzi dojrzałych dla przewodnika swej młodości. A świadectwa tego rodzaju są zawsze wiarogodne. Uczucia sympatii pod zimnymi podmuchami czasu i życia stygną; jeżeli więc one przez lat kilkanaście lub kilkadziesiąt pozostają gorące w sercach, niewątpliwie zasługują na nie ten, kto je w nich rozpalił. 150 uczniów Pankiewicza, w połowie już mających daleko po za sobą lata szkolne, a składających hołd swemu nauczycielowi, który tem tylko się odznaczył, że ich uczył i kochał — to 150 świadków pożytecznej i uczciwej jego działalności. Gdyby ona taką nie była, jakież wzgląd zgromadziłby ich około niego? W podobną uroczystość przecie już nie mogą się wcisnąć żadne inne pobudki, prócz serdecznych i wdzięcznych wspomnień. Jedyna to publiczna nagroda dla rozumnych i zanych przewodników młodzieży; niech też oni ten wieniec otrzymują z rąk swych wychowawców, dopóki ich szereg ciągnąć się będzie.

Jeżeli warto umierać śród powszechnego żalu, to nie warto z nadzwyczajnym o sobie mniemaniem. Wyprawiono *Kłosom* pogrzeb bardzo przyzwoity, ale skoro był to — według ich współredaktora — „jeden z najcenniejszych organów prasy naszej,“ skoro — według ich wydawcy — „naród może kiedyś się spostrzeże, że stracił posterunek... gdzie *najlepsi* jego synowie wartę trzymali,“ to doprawdy ani w rachunku wykazującym poważne straty, ani w moralnem wytłomaczeniu rozpaczliwego kroku nie widzimy wyjaśnienia, dlaczego p. Lewental wyrządził sobie tak wielką boleść, a ogółowi tak wielką krzywdę. Gdyby jakiś apostoł idei po 25 latach daremnego wysiłku, wyczerpany materialnie i moralnie, rozbił w niemocy i zwątpieniu warstwą swej pracy, rozumielibyśmy go. Ma on prawo powiedzieć: jestem biedny i bezsilny, dalej działać nie mogę. Ale p. Le-

wental, pomimo — jak zapewnia w pożegnaniu numerze — 90,000 rubli straty podczas ostatnich lat ośmiu zamyka *Kłosy* jako człowiek bogaty i gdyby z tą samą drobiazgowością, co rachunek niedoboru w drugim okresie ich istnienia, przedstawił nam obraz zysków w pierwszym, może okazałoby się, że na tem przedsiębiorstwie nie stracił. Wogóle literatura go nie zubożyła, przeciwnie „odrzucała“ mu szczodre dary, które stanowią znaczną część jego majątku. Niema chyba człowieka, któryby nie wszedł na to niewdzięczne pole, gdyby wiedział, że z niego zejdzie tak zrujnowanym i... zadowolonym, a nawet p. Lewental, gdyby jednocześnie prowadził był fabrykę porcelany i zamknął ją po 25 latach z podobnym bilansem, nie narzekałby, lecz powiedział: zyskiwałem i traciłem, ostatecznie zarobiłem. Literatura jest o tyle wygodniejszą od każdego innego przemysłu, że w niej publicznie można poskarżyć się i cierniem męczeńskim swe czoło ozdobić. Więc skarży się wydawca *Kłosów*, że był przedmiotem ciągłych i coraz częstszych napasć, że „żaden głos nigdy w jego obrobie nie odezwał się,“ że „znikąd nigdy ani jednego nie zaznał słowa zachęty.“ Wierny jego towarzysz, p. A. Plug, akompaniuje mu w tej żałosci: „Żadne uczciwe czasopismo *tej wartości* i tego umiarkowania, spokoju i trzeźwości w poglądach, tak stroniące (!) od wszelkich napasć i polemik nieprzychylnych (zobaczmy to zaraz) nie doznało od początku aż do końca swego istnienia tyle *złej woli* i *nieżyczliwości* ze strony *prawie całej* prasy, co *Kłosy*.“ Gdyby tak istotnie było, to niechęć „prawie całej prasy“ musiałaby mieć w swych przyczynach nie tylko „złą wolę i nieżyczliwość.“ Ale tak wcale nie było i zaiste nie pojmujemy, co obu elegistów skłoniło do przesady w przedstawieniu niepopularności swego organu. Z pochwał prasy dla pp. Lewentala, Pluga i *Kłosów* możnaby złożyć niejedną tom. Po za tą dla tragiczności malowidła użytą przesadą przynależało, że redakcyę tego pisma i wydawcę często atakowano, padały jednakże zarówno kamienie napastnicze, jak i strzały odwetowe lub karzące. Pomijamy pierwsze, stanowiące sport lub spekulacyę paszkwilową, zastanowimy się tylko nad drugimi. P. Lewental utrzymuje, że szykanowano jego wyznanie. Rzeczywiście był on przedmiotem uragań antysemitkich, ale także i nagan, które miały swoje uzasadnienie społeczne. Kiedy w prasie zaczęto skrupulatnie sprawdzać szczerść głoszonych przekonań, redaktor *Kłosów*, wyznawca mozaizmu i członek gminy izraelskiej, pasujący się na rycerza ultramontanizmu wojującego, musiał razić, drażnić i wywoływać przeciw sobie ostre wycieczki. Gdyby p. Lewental był poprzestał na przestrzeganiu zasad „humanizmu“ i „tolerancji,“ byłby niezawodnie ustrzeżony się tych wycieczek. Tymczasem on bojował w imię tego, co nie było i być nie mogło jego szczerem wyznaniem wiary, a natomiast musiał być przez przeciwników uważany za przedmiot handlu. Jest to dla nas zdumiewającym dowodem niepamięci lub chęci zapomnienia, gdy p. Plug pisze w swem *pożegnaniu*: „Sądy nasze starały się *zawsze* wypowiadać spokojnie i poważnie, *nigdy* nie posługując się bronią szyderstwa, urągania lub insynuacji; *unikaliśmy* polemiki *nawet wtedy*, gdy nas do niej napastnicy wciągnąć usiłowali.“ Czemu to, co minęło, nie ginie! Czemuz nie możemy uwierzyć, że *Kłosy* nie były jedną z twierdz zaczepnego konserwatyzmu, z której odbywały się ciągle i nieraz bardzo brutalne wyprawy na prasę postępową i jej członków! Zapewne od lat 20, kiedy zaczęła się ta walka, zapaśnicy obu stron dojrżeli, ba, nawet osiwieci i ochłodli w swych sądach i zmienili wzajemne o sobie przekonania. Jeśli wszakże chodzi o wspomnienia i wystawę cnót z przeszłości, wolno zapytać: które to pismo ogłaszało odezwy do na-



rodu, odzierające z czoły pozytywistów? Które służyło ciągle różnym kaznodziejom społecznym do rzucania na tę „zakalę“ kłatw? Które przed kilku laty, w sprawie całkiem go nieobchodzącej, otworzyło swe szpalty osobistej napaści na nas? *Kłosa*. A teraz ich redakcja dziwi się, że je atakowano i upewnia, że „nigdy nie posługując się bronią szyderstwa, urągania lub insynuacji, unikała polemiki.“ Na to zdziwienie odpowiemy jednym przykładem — *Tygodnika ilustrowanego*, który nie wywołał przeciw sobie „złej woli i nieżyczliwości“ prawie całej prasy, „bo wyzwał jej nie rzucał i bojowych sztandarów nie rozpościarał.

P. Lewental tedy nie ustąpił z pola zrujnowany materialnie i skrzywdzony moralnie, a jeżeli miał rzeczywiście jakąś ideę, jakiś „humanizm“, to na szerzenie i obronę tej idei stać go było dalej, może w postaci wydawnictwa mniej kosztownego, ale przecie „humanizm“ niekoniecznie potrzebuje wytwornych ilustracji i drogiego papieru. Nie środków więc, nie zadowolenia moralnego brakło p. Lewentalowi, ale właśnie miłości i wiary w ideę. My, biedacy, prowadzący walkę o byt ze straszny wysiłkiem, zdobywamy się na ciężkie ofiary, pracujemy, jak woły i wydajemy pisma, które albo się nie opłacają, albo zaledwie pokrywają swe koszty, a p. Lewental nie mógłby sobie tego pozwolić dla swego „humanizmu“? Cofnął się, bo zarówno w jego działalności, jak w jego poęgnięciu zbyt ważną sprężyną była próżność. Wiele już i bardzo pożytecznych pism u nas zawieszono, ale nigdy z takim pompatycznym samochwalstwem. Ojcowie kładli do grobu swe dzieci smutnie, ale milcząc i cicho. Tymczasem p. Lewental wyprawił swym *Kłosom* stypę tak okazałą, wypowiedział na niej mowę tak dumną, jak gdyby zamykał księgę myśli narodowej. Nie pominął z historii pisma najdrobniejszych szczegółów, opowiedział, jak, kiedy i od kogo je nabył, w którym domu i przy której ulicy zawierano umowy, który rejent spisywał akty kupna, którzy senatorowie składali komplet sędziów rozstrzygających proces z *Gazetą polską*, gdzie i w jakiej ilości odbywały się posiedzenia redakcyjne itd. Czytając to wszystko, zdaje się, że znikła arka przemierza i że jej arcykapłan tłumaczy przed strapionym ludem powody tej okropnej straty.

A jednakże po otrząśnięciu z *Kłosów* tej ich łuski, pomimo że *Prawdę* oprószały one nieraz swą sniedzią, żałujemy szczerze ich zgonu. Czy tam kiedyś — jak mniema p. Lewental — sądzić je będzie „historia“ — to mniejsza; ważniejszym jest fakt, że z woli, a nie z potrzeby umysłowej społeczeństwa prasa nasza coraz bardziej się kurczy i że znowu zanikł organ, który je duchowo odżywiał. Odcodziwszy zeń pianę, na dnie tego stłuczonego kielicha bywały krople wiedzy, uczułe czystych i pokrzepiających. Była to lampka, która czasem kopciła, ale także grzała i świeciła. Po zgaśnięciu jej o jakąś różnicę zrobiło się w kraju ciemniej i zimniej. To też gdyby nasze zdanie, z dbałości o rozwój prasy poczerpnięte, mogło tu wywrzeć wpływ, radzilibyśmy p. Lewentalowi, aby pod inną postacią *Kłosa* wskrzesił. Mówimy pod inną, bo zapewne układ z *Tygodnikiem ilustrowanym* i niedobór 12,000 rs. rocznie na dotychczasową mu nie pozwalają. Niespełnionych a ważnych zadań, którym warto byłoby poświęcić siły, mamy jeszcze dosyć; niech więc p. Lewental jedno z nich sobie wybierze. Przy swych zasobach, gotowych środkach technicznych i pomysłowości a skromniejszych granicach przedsięwzięcia może szczerze zapełnić z pożytkiem i z powodzeniem. My powinniśmy naśladować naturę, która niczego nie marnuje i nawet to, co zabija, na inne życie przeraabia. Przez zwinienie *Kłosów* pewna ilość głów i rąk pozostanie bezczynną lub niepożytkowaną; a jednakże ta suma sił przy

umiejętnem skierowaniu ich mogłaby owocować produkcyjnie i zmienić się na dobro społeczne. P. Lewental, zapomniawszy o swych osobistych żalach, powinienby o tem pomyśleć, a wysłuchawszy bezstronnej krtyki, wysłuchać następnie obywatelskiej rady.

\* \* \*

Jakiegokolwiek sprawy poruszylibyśmy dziś, wszystkie są drobnymi pyłkami wobec tej olbrzymiej i świetlanej postaci, która zmartwychwstaje w pamięci naszej przy przewiezieniu śmiertelnych jej szczątków z Paryża do Krakowa. Dziś już święte ciało społeczeństwa relikwie najgenialniejszego z pisarzy polskich spoczywają w nowym grobie. Śród jakich objawów tej czoły odbyła się uroczystość, doniesiemy czytelnikom później, gdyż w chwili, kiedy to piszemy, dzień ów jeszcze nie nadszedł. Pisano o nim wiele, a zwłaszcza w ostatnich czasach, dzięki Towarzystwu jego imienia, stał on się przedmiotem bardzo troskliwych poszukiwań i rozważań. Nie wyrażono wszakże dotąd jego wpływu w cyfrach, nie obliczono dokładnie, w jakiej liczbie rozeszły się jego utwory w granicach języka ojczystego i obcych. Ktoś dla nas robi ten (w każdym razie tylko przybliżony) obrachunek — nie wiemy jednak, czy zdoła zebrać dane, upoważniające do wniosków rzecznych.

Posel Prawdy.

## NA WIDNO KREGU.

Dalsze zabiegł piotrkowian o swoją arterję kredytową. — Umizgi kapitalistyczne. — Bezczelne cyfry. — Spółka teatralna polska w Łodzi. — Cmielów. — Życzliwa rada. — Pierwsze kroki Banku włościańskiego. — Nabytek Sieradza.

Świat kupiecko-przemysłowy Piotrkowa nie daje za wygraną, spodziewa się sprawę instytucji kredytowej u siebie załatwić w myśl swoich życzeń. W początkach maja delegacja, złożona z dwu osób wręczyła ministrowi skarbu podanie o pozostawienie w Piotrkowie nadal operacji wekslowych i likwidacyi po byłym Banku polskim. Podanie było przyjęte przychylnie przez ministra. Ponieważ zamknięcie oddziału piotrkowskiego stało się faktem niecofniętym, pomimo więc złożonych ofert na koszty zarządów, miano tylko nadzieję, że operacje wekslowe wraz z częścią innych bankowych dołączone będą do Izby skarbowej. Całą sprawę przekazano komisji, obradującej nad uregulowaniem sposobu postępowania przy Izbie skarbowej z interesami bankowymi Piotrkowa, jak np. depozytami, przekazami i książeczkami oszczędnościowymi. Na wieść o tem, że komisya rzeczona doszła do sprzecznych poglądów na sprawę wekslowe przy Izbie skarbowej, jeden z poprzednich delegowanych powtórnie udał się do Petersburga 23 czerwca i ponownie prosił ministra w imieniu mieszkańców o utrzymanie w Piotrkowie wszystkich czynności oddziału na lat 2—3, wyrażając nadzieję, że w ciągu tego czasu przy energicznym zarządzie nietylko wydatki się pokryją, lecz i niedobory lat zeszłych wyrównają. A motywy, użyte w podaniu, były poważne: zaznaczono nietylko możliwość ruiny będących w likwidacyi, lecz i części nowoprzypuszczonych do kredytu oddziału, do którego nowych wymagań przystosowali się. Co się zaś tyczy operacji przekazanych Izbie skarbowej, to państwo na nich nie zarobi, bo one wraz z weksłami poprzynoszą się do sąsiednich oddziałów Banku lub wprost — upadną. Minister na utrzymanie chociażby czasowe oddziału Banku nie zrobił prawie żadnej nadziei. Wtedy delegowany po inny rozum poszedł do głowy: doręczył mu podanie o otwarciu w Piotrkowie już raz odmówionego „towarzystwa kredytowego miejskiego.“ Sprawę tę minister przyrzekł rozjeździć, zrobił jednak uwa-

gę, że dla żądanej instytucji Piotrków jest jeszcze za małym miastem.

*Dziennik łódzki* donosi o niezmiernie charakterystycznym w naszych czasach fakcie. Dnia 22 czerwca 1890 r., w niedzielę, lasek obok fabryki p. S. Rosenblatta w Łodzi był świadkiem widowiska, tj. komedii społecznej p. t.: „Kochajmy się!“ Aktorami w niej byli najmici, a reżyserem przedsiębiorca. P. Rosenblatt urządził zabawę dla robotników i oficjalistów ze swojej fabryki. Bawiono się do godziny 7-ej wieczorem. W tańcach uczestniczyła rodzina fabrykanta wraz z dyrektorami i rządcami fabryki. „Jeden z szefów p. Maksymilian Rosenblatt — powiada polski organ miejscowy — urozmaicał zabawę niespodziankami, w postaci przedmiotów wartościowych, o zdobycie których odbywały się konkursy. Oficjaliści i robotnicy stawiali do wyścigów pieszych i kto pierwszy dobiegł do mety, otrzymywał nagrodę, których było kilkanaście. Na zakończenie zagrano marsza, przy którego dźwiękach opuściło miejsce zabawy przeszło 70 uczestników, żałując, że czas tak prędko upłynął.“ Drugiej takiej samej komedijki tegoż dnia był inicjatorem inny fabrykant, imieniem „Schwartz, Birnbaum i Lów.“ Tak samo „szefowie“ fabryki kierowali osobiście zabawą, podejmowali gościnnie wszystkich uczestników, zachęcając do wesołości i swobody własnym przykładem. „Na salę tańca przekształcono wielki śpichrz fabryczny, który przystrojono wieńcami, girlandami i kwiatami. W zabawie tej, w której uczestniczyło około 750 osób, jedną z chwil interesujących był także wyścig pieszy. Cztery nagrody, w postaci materiału na ubranie, zdobyli chłopcy, którzy najprędzej przybiegli do mety.“ Podczas tej zabawy nie zapomniano i o filantropii: zebrano pewną sumę. Jak to pocziwie i zarazem jak mądrze. Zachwyt byłby silniejszy, gdyby na miejscu „blattów“ i „baumów“ stał jaki „ski“ lub „icz.“ Co za łyż rozrównienia płynęłyby wtedy z oczu, na widok tych dążeń do zacierania antagonizmów w łonie całości... Ale mnie to tymczasem co innego przypomina: uroczystość poświęcenia fabryki nowootwartej w Rheindahlen w roku zeszłym, wielkiej o 200 krosnach tkalni Müllera i Spółki, z tą tylko różnicą, że tam z większym i wspanialszym, niż w Łodzi, przyborem dekoracyi teatralnej „święto jedności interesów“ obchodzono — zresztą pod kierownictwem Hitzego, który jest wytrawnym hypnotyzerem społecznym. Czytelnika ciekawego szczegółów odsyłam do czasopisma tego zasłużonego meża na polu katolickiego organizowania żywiołów wstecznych (*Arbeiterwohl*, 1889. Viertes Quartal).

Według statystyki przemysłu łódzkiego prowadzonej w magistracie miejscowym okazuje się, że w r. 1889 we wszystkich zakładach przemysłowych m. Łodzi pracowało 29,449 robotników (w tej liczbie poddanych obcych 1,322). Suma zarobków wypłaconych w tymże roku *wszystkim* ma wynosić 6,853,329 rs. Wszystkie zakłady przemysłowe przerobiły materiału surowego, nabytego za granicą, za 14,851,482 rubli i w kraju — za 16,671,0004; cały ich wytwór przedstawiał wartość rs. 53,245,276. Sprzedano w ciągu roku 1889 towarów z fabryk łódzkich ogółem — za 33,505,940 rs. Ciekawy też jest budżet fabryk Scheiblerowskich z zeszłego roku, pomimo, iż go do „najniepomysłniejszych“ lat dla przemysłu bawełnianego zaliczają. Czystego zysku osiągnięto 1,310,126 rs., prócz 630,083 rs., na amortyzację i kapitał zasobowy przeznaczonych.

Przystąpiło tak dużemu miastu, jak Łódź, która drugie po Warszawie w kraju miejsce zajmuje, zdobyć się na stały teatr, zamiast dotychczasowych gromad luźnych, koczowniczych, które o nią zawadzały tylko. Jakoż w myśl tej przyzwyczajności miasta cywilizowanego zdobyła się na spółkę teatralną. Zawązał ją p. Kopczewski. Dzia-



łałość swą już rozpoczęła od skompletowania towarzystwa dramatycznego. Tego nie dość, że administracja przedsiębiorstwa zorganizowaną ma być „na podstawach kontroli” i racjonalnej gospodarce finansowej; jeśli nie znajdują się w Łodzi szczerzy i wytrwali miłośnicy teatru polskiego, spółka nie na wiele się zda. Bądź co bądź, życze jej powodzenia.

Spółka może, ale Ćmielów już zdaje się upadać — przynajmniej tak wnosić można z *Gazety radomskiej*. Jak wiadomo, w Ćmielowie istnieje jedyna w kraju fabryka porcelany i naczyń kamiennych, i, o ile „ściśle obserwując” ludzi bezstronnych i życzliwych, od których korespondent wie, nie mylą, chylić się ma do upadku, a to z powodów następujących. Właścicielem jest „dziedzic włości obszernych,” człowiek najlepszych chęci, ale młody i bez uzdolnień fachowych. Fabryka pozostaje w ruchu tylko kosztem wielkich jego nakładów. Wobec braku człowieka kompetentnego i dobrego kierownika, gospodarka jest prowadzona nieumiejętnie, rozrzutnie i bezładnie — z typowym niedołęstwem szlacheckim. *Gazeta radomska* zachęca właściciela, żeby ze względu na rozgłos fabryki, mającej za sobą tradycję, oraz dobro mieszkańców Ćmielowa rozpedził „liczne szeregi buchhalterów, administratorów i pisarzy,” a powierzył kierunek fabryki fachowo uzdolnionemu dyrektorowi, któryby podniósł wydajność i dobroć produkcji ku pożytkowi i chlubił rodzimego przemysłu. Jeśli rada zostanie wysłuchana i ręka z powolnej stanie się sprężystą, „liczne szeregi” będą mogły powtarzać sobie: *per aspera ad astra!*

Organ radomski miewa czasem twarz Katona. Podziwu godna jest jego niezależność wobec „sfer wpływowych” i odwaga, z jaką wyzywa ich gromy. Oto np. „najszerzej” uprasza wszystkich pracowników życzliwych drogi żelaznej Iwangrodzko-Dąbrowskiej o przesyłanie faktów i wiadomości. „Wydajemy *Gazetę* w obronie prawdy!” — wykrzykuje. „Odpowiedzialność za wiadomości przesyłane redakcyja przyjmuje na siebie” (cztery wyrazy ostatnie heroicznie są podkreślone). I widać ludziska, zapewnieniem tak uroczystem zachęceniu, uchylają niekiedy zasłony, kryjąc wstydlivość Towarzystwa, bo oto np. wiemy z „Kurierka kolejowego” w *Gazecie*, że los najmitów warsztatowych tam jest zupełnie niezabezpieczony, nie mają oni: ani kasy przezorności, ani emerytalnej, ani zaliczkowo-wkładowej, do której zapewne, wyręczając mizerotę najmicką, chyba redakcyja sama podejmie się wkładać. „Oczy tak być powinno, żeby zarząd drogi w Warszawie i miejscowy nie pomyślał dotąd (od lat sześciu) o zabezpieczeniu losu ludzi, pracujących ciężko z pożytkiem i korzyścią dla akcyonaryuszów?” Bardzo słusznie, ale dam życzliwą radę *Gazecie*. Nie dość jest palcem pokazywać w jedną tylko stronę: wyzysk i nadużycia nie są monopolem; pożądanem więc byłoby odsłaniać te kwiatki wszędzie, skąd jeno woń ich doleci.

Dowiadujemy się od korespondenta *Gazety rolniczej* z Janowskiego, że tam Bank włościański ujawnił już swoje istnienie „znacznym” szeregiem majątków sprzedanych parcelacyjnie na jego pożyczkę. Do tej liczby — o której, nawiasem mówiąc, korespondent nie powiadamia — przybyły: Mniszek i Sucha Wólka pod Annopolem, w glebie piaszczystej położone i „mocno zdewastowane.” Mniszek, wynoszący 1,079 mor. nowopolskich, dostał się w ręce chłopskie z żydowskich, bez inwentarzy, bez zasiewów, z napół rozwalonymi budynkami, po 50 rubli morg. Z Suchej Wólki sprzedano dotąd dwie duże kolonie 102 i 108 morgów, lekko piaszczyste z łąkami, ale też bez inwentarzy i obsiewu — po 60 rubli morg. Z Łęczyckiego znów donoszą, że w r. 1888 włościanie nabyli gruntów dworskich prawie 10,000 morgów nowopol., za

sumę około 600,000 rs. Teraz zaś, dzięki udziałowi Banku, podobne transakcje szerzej przybierają rozmiary. Ale zaniechajmy tej zbieraniiny drobnych i ginących na przestrzeni kraju objawów; dopiero przyszłe sprawozdanie Banku da nam bliższe pojęcie o jego postępkach u nas.

Do szupłej liczby miejscowości w kraju posiadających kasy zaliczkowo-wkładowe przybywa Sieradz, gdzie, według wiadomości *Świeta*, powstaje ta instytucja przy magistracie z zapisu niejakiego Dąbrowskiego (2,400 rs.). Pożyczki wydawać ona będzie mieszkańcom miasta za  $\frac{1}{3}\%$  miesięcznie (8% rocznie), a przyjmować depozyty na  $\frac{1}{2}\%$  miesięcznie (6% rocznie). Wysokość pożyczki niema przenosić  $\frac{1}{3}$  wartości majątku nieruchomego i nie może być większą nad 200, za poręczeniem nie większą nad rs. 50. Niezamożni otrzymywać mają z kasy zapomogi bezzwrotne (!).

Z. Atanazy.

## KRONIKA.

Redaktor Prawdy wyjechał za granicę.

**Szkoły.** W folwarku Brzozowo, należącym do Sobiejszyna, będzie otwarta z funduszu Kieckiego niższa szkoła rolnicza z kierunkiem praktycznym dla ludności wiejskiej.

— Powstaje w Warszawie szkoła wyrobu koniaków, likierów, nalewek, wina szampańskiego i konserwacyi, oraz kłprowania wszelkiego gatunku win krajowych i zagranicznych.

— *Rusk. Wied.* donoszą, iż rozchodzące się pogłoski o utworzeniu przy uniwersytetach wydziałów agronomicznych, są bezpodstawne. Wyższe zakłady rolnicze będą zachowane, chociaż ulegną gruntownej reformie.

— *Now. Wr.* donosi, iż wobec zdarzającego się w ostatnich czasach wysyłania żydów, relegowanych z uniwersytetów i innych zakładów naukowych do miejsc ich zamieszkania, departament policyi wykonawczej rozesał okólnik wyjaśniający, że Izraelici, którzy ukończyli gimnazya, mogą wstępować do uniwersytetów, akademii i innych wyższych zakładów naukowych w całym państwie. Podczas przebywania w zakładzie naukowym żydzi mogą zamieszkiwać wszędzie; z chwilą jednak wystąpienia z uniwersytetu i innego zakładu naukowego, nie nabywają żadnych praw i po wracają do pierwotnego stanu rzeczy. Skutkiem tego uwolnieni lub usunięci z zakładów naukowych żydzi powinni być wysyłani do miejsc zamieszkania, oprócz tych, którzy udają się do rodziców, posiadających prawo zamieszkiwania w całym państwie.

— Wskutek zapytania jednego z kuratorów okręgu naukowego, jakiej opłacie stempowej podlegać mają podania o dozwolenie składania egzaminu na nauczycieli i nauczycielki domowe i początkowe, oraz na stopień pomocnika aptekarskiego, ministerium oświaty wyjaśniło, iż podania takie winny być zaopatrzone marką 80-kopiejkową.

**Wiadomości społeczne.** W *Gazecie lekarskiej* i *Medycynie* dr. Kadler podaje projekt założenia czytelnicy specjalnej.

— *Now. Wr.* podaje wiadomość o projekcie założenia w Warszawie teatru ludowego i że podanie w tym przedmiocie wniesiono już do władzy. Pismo powyższe, zwracając uwagę na spory procent ludności robotniczej w naszym mieście, popiera pomysł. Fundusze na założenie teatru podobno przyrzekli w znacznej części zamożniejsi fabrykanci.

— Właściciele dorożek warszawskich wnoszą podanie do p. oberpolicmajstra o niższenie taksy za kurs jednokonných do 15 kop. i parokonných 20 kop.

— Pocztove kasy oszczędności w tych dniach będą otwarte w Warszawie, jedna na placu Wareckim, druga w urzędzie telegraficznym.

— W Hamburgu utworzył się socjalno-ewangelicki związek robotniczy z tendencją antisocyalistyczną.

— W Paryżu powstało Towarzystwo przyjaciół Rosyi, którego komitet wzywa do udziału wszystkich francuzów bez różnicy partij, uznających serdeczną zgodę z Rosyą, jako rekojmję niezawisłości dla Francyi.

— Pewna liczba młodych prawników, kończących w r. b. uniwersytet, zamierza osiąść na prowincyi w małych miasteczkach. Z tego powodu *Gazeta sądowa* wyraża życzenie, aby przed tem odbyli choćby kilkomie-

sieczną praktykę w kancelaryach obrońców warszawskich, dla praktycznego przygotowania się do zajęć.

**Sprawy kolejowe.** Głównem zadaniem projektowanej sieci stacyi meteorologicznych na kolejach żelaznych będzie informowanie rolników o pogodzie. W tym celu na wszystkich pociągach wywieszane będą kolorowe sygnały, oznaczające warunkowe przepowiednie pogody na najbliższe dni; na wszystkich zaś stacyach rozlepiane będą mapy synoptyczne pewnego obszaru.

— Ministerium komunikacyi projektuje specjalny wydział kontroli rządowej nad taborom ruchomym kolei. Wydział ten, niezależny zupełnie od departamentu kolejowego i podwładny ministrowi komunikacyi, zbierać będzie statystyczne dane o taborach ruchomych, o ich ruchu i zdolności przewozowej kolei. Wrazie zwiększonego przewozu, w czasie pokoju lub wojny, wydział rozporządza całym taborom wszystkich kolei w państwie i oddaje go z jednej drogi na drugą, przyczem norma wynagrodzenia za użycie taboru i ustanowienie taryf przewozu powinny być obliczone według istniejących przepisów.

— Urzędnicy kolei Wiedeńskiej zrobili zbiorowe podanie o wyznaczenie stałego funduszu na opłatę mieszkań, motywowane trudnymi warunkami istnienia.

— Na wiosnę postanowiono przystąpić do budowy kolei od wschodniego brzegu Bajkału do Srieleńska.

**Wystawy.** Powszechna wystawa sadownictwa i ogrodnictwa otwarta będzie w Petersburgu 11 sierpnia r. b.

— W Taszkencie 12 września r. b. będzie otwarta turkistańska wystawa rolniczo-przemysłowa.

— W Berlinie otwarto pierwszą powszechną wystawę koni i wystawę piwowarską.

— W Bremie otwarto wystawę handlu i przemysłu.

**Zjazdy.** Trzeci zjazd przedstawicieli ruskich instytucyj poprawczych rozpocznie swe posiedzenia 28 b. m. w Muzeum historycznym w Moskwie. Przyjmą udział profesorowie uniwersytetów.

— Międzynarodowy kongres telegraficzny w Paryżu uchwalił znaczne niższenie taryf w międzypaństwowym ruchu telegraficznym. Najbardziej niższone taryfę depesz między Rosyą i Francyą — z 50 na 40 centimów od wyrazu.

— Do ministerium dóbr państwa wniesiono projekt organizacyi corocznych zjazdów rolników w oddzielnych powiatach. Tego rodzaju zjazdy powiatowe mają stanowić ogniwa, łączące dany okrąg z centralnem Towarzystwem rolniczym gubernalnem, które ze swej strony byłoby pośrednikiem pomiędzy organizacyą ziemiańska a wyższą władzą, zajmującą się sprawami rolnictwa.

**Cholera** nie ustępuje z Hiszpanii, ale też nie przechodzi po za jej granice. Pogłoski o posuwaniu się zarazy w głąb Europy okazały się mylne.

**Marya Wisnowska**, artystka teatrów warszawskich, znaleziona została zabita w obcym mieszkaniu (przy ul. Nowogrodzkiej, nr. 14). Wynik śledztwa urzędowego dotąd nie jest jeszcze znany.

**Bibliografia.** Marian Matsonius (aus Minsk), *Ueber Kants transcendentalen Aesthetik* (rozprawa na stopień doktora filozofii), str. 176, Lipsk.

— Dr. L. Neugebauer, *Kilka słów o higienicznem znaczeniu sportu kołowego* (według odczytu prof. Nussbauma), str. 15, Warszawa.

**Zmarli.** Jan Jerzy Hillensperger, w Monachium, malarz historyczny.

— Karol v. Leitner, w Gratzu, najstarszy poeta austriacki.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

**Filosanowi.** Alegoria zbyt przejrzysta, a rozwinięta w sposób zbyt prosty i nieartystyczny.

**Panu C. N.** Tak, małżonką jego morganatyczną była Elżbieta Grabowska, wdowa po Janie, generale wojsk litewskich, Szydłowskiej z domu „Pani (kasztelanowa) Krakowska,” rodzona siostra Stanisława Augusta, miała kolejno dwu mężów: Jana Klemensa Braniczkiego (hetm. w. k., kaszt. kr.) i Andrzeja Mokronowskiego, wojew. mazow. (z którym tajemny ślub zawarła).

**Jednemu z prenumeratorów.** Patent z ukończenia sześciu klas wystarcza; pierwszeństwo jednak mają kandydaci z wyższą kwalifikacyą naukową. *Sprawowanie wzorowe* (oznaczone cyfrą 5) *jest warunkiem koniecznym*, stanowiącym o przyjęciu do instytutu. Wpis wnoszą się w dwu ratach, na początku półroczu, po rs. 12 k. 50.

**Uwaga.** Redakcyja rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.



MAGAZYN

Ubiórów Męzkich

P. KREPSKIEGO

ulica Kotzebue Nr. 11 (Hotel Brühlowski),  
w Warszawie.

## NASZE PERFUMY

wyrobiane wyłącznie przez

**Warszawskie Laboratorium Chemiczne**

dorównywiają przysmaki najlepszym perfumom angielskim, będące o 40%  
od nich tańszymi. Dostać można w 15-tu pięknych zapachach.

Tomilek (Heliotrop).

Konwalia majowa.

Fijolok.

Bukiet Warszawski.

Bukiet Łazienkowski.

Rozwój (Magnolia).

Róża mchowa.

Zamrocznia (Ixora).

Świeże siano.

Storczyk.

Rezeda.

Szczęśliwość.

Bodziek różany.

Przepyszln (Gardenia).

Kalina ordoiw.

Jedyna cena flakonów oryginalnych 40 kop.

Dostać można: 1) Róg Miodowej i Senatorskiej, 2) Krakowskie-Przedmie-  
ście Nr. 1, 3) Róg Granicznej i Królewskiej, 4) Nalewki Nr. 31.

Nagrody z Wystaw za skuteczność:  
Warszawa 1885, Warszawa 1886, Kra-  
ków 1887, Symferopol 1888.

!!TYSIĄCE ŚWIADECTW!!  
PEWNY ŚRODEK  
„EXSICCATOR”

OSUSZA WILGOĆ,  
ZABEZPIECZA DRZE-  
WO OD GNICIA, GRZYB-  
KAI p. — BROSZUR-  
KA ILUSTROWANA  
BEZPŁATNIE  
POSZUKUJE  
AGENTÓW.  
Wyn. Inż. G. Ritter.  
KRÓLEWSKA 39.

Uwaga. Upraszam o zwrócenie uwagi  
na markę fabryczną, gdyż wiele pojawiło  
się falsyfikatów.

## Karol Marks: Kapitał

wyszedł z druku zeszyt III i jest do ode-  
brania w miejscach przedpłaty. Cena ca-  
łego tomu rs. 3 kop. 50, z przesyłką rs. 4.  
Zeszyty II i III można nabywać oddziel-  
nie po rublu. Skład główny w księgarni  
M. ARCTA, Nowy Świat 53.  
Do nabycia również we wszystkich księ-  
garniach.

Kotzebue Nr. 2,  
w Warszawie.  
Magazyn Ubiórów Dziecinnych  
S. Przeddzieckiego  
ul. Kotzebue Nr. 2  
(róg Wierzbowej).

## „Na Raty”

Lustra

sprzedaż miejscowym i na prowincję

Fabryka zwierciadeł

MAURYCEGO Silberberga

8, Rymarska, 8.

Z powodu istniejących firm po-  
dobnych uprasza się o zwrócenie  
uwagi na  
dokładny adres i Nr. 8,  
również na wywieszony w wystawie  
napis firmowy.

F. Drechsler

Warszawa,

Leszno 14.



ROWERY od

rs. 125—250.

BICYKLE od

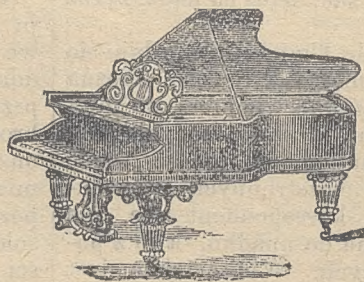
rs. 100—220.

Używane welocepedy od rs. 50.

GEBETHNER i WOLFF

NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład Fortepianów i Pianin



Sprzedaż

na raty.

Wynajem

instrumentów.

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

Wina Krymskie i Za-  
graniczne

oraz

COGNAC  
KRYMSKI  
analizowany jako prawdziwy  
wyrób z wina i przez  
powagi lekarskie  
zalecany.

Lepszy na cele lecz-  
nicze, niż Ko-  
niak francuskie, z których  
największa część z powodu  
wyniszczenia winnic przez  
filokserę, tworzy się ze spi-  
rytus kartoflanego.

Tańszy, gdyż nie cią-  
głym wysoki cło i trans-  
port około 2 rs. z butelki,  
otrzymać można wyłącznie

w Składzie Win  
BRACI KEMPNERÓW  
Długa Nr. 5.

Cena: 1/4 but. rs. 1,50, 1/2  
k. 80, 1/4 k. 40. Skrzynki po  
6 butelek wysyłają się do  
wszystkich St. Dr. Z. franco  
w Królestwie po rs. 9.

Newskie



NICK

Do AMERYKI.

BILETY JAZDY



Holendersko-ame-  
rykańskiego Towa-  
rzystwa żeglugi  
parowej

w Kantorze Ekspedycyjnym  
MAURYCEGO LUXEMBURGA,  
Jeneralnego Agenta Towarzystwa  
w Warszawie, Erywańska 6.

Wszelkie objaśnienia szybko  
i bezpłatnie.



Najkrótsza, najszybsza  
i najtańsza podróż.

ZAKOPANE

urocza miejscowość klimatyczna  
w Tatrach. Zakład wodolecznicy

D-ra Chramca.

Całodzienne utrzymanie w Zakładzie  
wraz z kuracją od zlr. 3.50. Poczta,  
telegraf, apteka w miejscu. — W Zakła-  
dzie hydroterapii, kąpiele borowinowe,  
mieszanie, elektryzacja. — Pokoje ele-  
ganccko umeblowane i w najlepszym  
stanie. — Bilard, gimnastyka, czytelnia.  
Na żądanie prospektu wysłane zosta-  
ną. — Na zamówienie powozy do stacy-  
kol. w Chabówce. Zakład rozpo-  
rządza obecnie 65 pokojami.

## Wydawnictwa „Prawdy.”

J. Brandes. Główne prądy literatury XIX w., tomów  
cztery, tom. K. Lewald — rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych ba-  
daczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard, Logika, tom K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. Społeczeństwa zwierzęce, wraz z doda-  
tkiem ogólnych dziejów socjologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci  
„Prawdy” nabywać mogą za połowę ceny. Na ko-  
szta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop.  
15 do każdego rubla.

E. Taylor. Zmysłowość i moralność roślin (w opra-  
wie) — rs. 1 k. 50.

L. H. Morgan. Społeczeństwo pierwotne, czyli bada-  
nie kolej ludzkiego postępu od dzikości przez  
barbarzyństwo do cywilizacji, przekład A. Ba-  
kowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).

J. Barni i A. Krzyżanowski. Męczennicy myśli (w o-  
prawie) — rs. 1.

W. Ochoński. Dramaty (Antea, Na targu, Helwia, Pod-  
danka, Błazen, Za maską) — rs. 1.

— O życie, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug.  
Damian Capenko — k. 50.

— Klemens Boruta, powieść — k. 40.

— Niewinni, dramat w 3 aktach — k. 80, z prze-  
syłką rs. 1.

Dr. Azam. Charakter w zdrowiu i w chorobie — rs. 1.  
N. Hirsband. Byron w urywkach — rs. 1 kop. 20  
z przesyłką rs. 1 k. 25.

Dr. F. Rajkowski. Poradnik lekarski wraz z apteką  
domową (w oprawie), rs. 1, z przes. rs. 1 k. 20.

K. Lewald. Historia XIX w. od r. 1800—1888 — rs. 3  
k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

E. B. Tylor. Antropologia z ilustracjami, w przekła-  
dzie A. Bakowskiej — rs. 2, z przesyłką poczt-  
ową rs. 2 kop. 25.

Wydawnictwo Spółki Nakładowej.

WYBORU PISM

Henryka Heinego

w przekładzie: Maryi Konopnickiej, Józefa Ko-  
ścielskiego, Aleksandra Kraushara i innych,  
wyszedł w wydaniu ozdobnym

Tom pierwszy

z portretem autora i zawiera: Życiorys poety,  
przez A. Kraushara, oraz Intermezzo, Powrót,  
Nową wiosnę, Różne, Romanse, Obrazy morza  
północnego, Baśń zimową i Melodye hebrajskie.  
Cena rs. 1 k. 20, z przesyłką poczt. rs. 1 k. 40.

Uwaga. Następny tom „Wyboru pism” Heinego, za-  
wierający „Podróż do Harzu” i „Włochy,” wydanie  
niezadługo.